Łska" № 228 Dodatku Tom 28 (XLI)

Corocznie 52 tomy.

"...tek tygodniowy do „Gazety Polskiej".

WYBÓR PISM

Klemensa Junoszy.

# ŻYWOTA I SPRAWY
IMĆ PANA
# SYMCHY BORUCHA KALTKUGLA
KSIĄG PIĘCIORO.

J. Gebel.

Część 2.






WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej".
Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

1899.

WYRÓB PISM
*KLEMENSA JUNOSZY.*

WYBÓR PISM

*Klemensa Junoszy.*





# ŻYWOTA I SPRAW

IMĆ PANA

# SYMCHY BORUCHA KALTKUGLA

KSIĄG PIĘCIORO.




Część 2.

Józef Goebel

WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“
Druk. J. Sikorskiego, Warecka 14.

1899

Дозволено Цензурою Варшава 21 Мая 1899 г.

## KSIĘGI TRZECIE.

(Ciąg dalszy.)

Ślub odbył się we wzorowym porządku, poczem państwo młodzi, zaproszeni goście, tudzież publiczność, z ciekawości zgromadzona—słowem prawie całe miasteczko, przy dźwiękach muzyki, z wielkiemi okrzykami radości biegło do położonej przy rogatce nieruchomości, gdzie już wszystkie okna oświetlone były znaczną ilością świeczek łojowych—i uczta zgotowana. Przede drzwiami zrobił się tłum taki, że najpoważniejsi uroczystości tej aktorowie przecisnąć się nie mogli—i byliby się nie przecisnęli, gdyby nie Nechemiasz, który w samą porę wraz z trzema swoimi synkami się zjawił. Ci potężnemi ramiony i pięściami wnet rum uczynili i w tłumie otwarli drogę tak

szeroką, że poszóstna karoca najswobodniej mogłaby przejechać. Nie obyło się przytem bez krzyku i przekleństw, ale groźne spojrzenia czterech Goliatów uspokoiły wnet wszelkie szmery.

Do samego prawie rana trwały uroczystości weselne, poczem państwo młodzi, w towarzystwie panów Gansfedera i Kaltkugla ojca, udali się do Bielicy na nowe mieszkanie.

Nechemiasz z żoną swoją, niemłodą już i bardzo mrukliwą niewiastą, poprzednio zajął lokal przy kuźni.

Siedziba młodej pary nie była oczywiście pałacem, ale składała się z kilku izb. Pierwsza z nich, wielka, o dwóch oknach, była właściwie karczmą i, jeżeli kto chce tak nazwać, pokojem gościnnym dla przyjezdnych, a kuchnią dla gospodarzy, gdyż komin duży w niej był; druga, wąska, za sypialnię służyła; trzecia zaś i czwarta, po drugiej stronie sieni, przeznaczone były na skład zboża i różnych towarów, jakieby się młodym do nabycia trafić mogły.

Było więc dość obszernie—i miejsca na robienie majątku, ani na składanie bogactw nie brakło.

Z chwilą osiedlenia się państwa młodych w karczmie miejsce to straciło wnet charakter pustkowia. Naprzód zaczęli się schodzić chłopi z Bielicy, zaciekawieni, jak też nowa karczma wygląda i czy Sym-



cha sprzedaje lepszą, czy gorszą wódkę, niż gdzieindziej. Symcha na początek zaczął sprzedawać wódkę bardzo dobrą, mocną, sława jego karczmy rozchodziła się coraz szerzej — ludzie przyjeżdżali i przychodzili, żeby zobaczyć i spróbować. Po trosze za mężczyznami zaczęły zaglądać i kobiety, co młodziutkiej mężatce dało sposobność do rozwinięcia swoich zdolności handlowych, Symcha bowiem zostawił dla niej wyłącznie to pole działania, gdyż sam postanowił już więcej z kobietami i dziećmi handlu nie prowadzić. On miał ważniejsze interesa na głowie: pilnował karczmy, a niekiedy wyjeżdżał w okolice z Gansfederem. Nieobecność jego w domu trwała czasem dwa, czasem trzy dni, — żeby zaś przez ten czas młodej kobiecie nie przykrzyło się i żeby jej miał kto, na wypadek liczniejszego napływu gości, być pomocnym, przyjęto na mieszkanie ubogą ciotkę, Gitlę, która, jako wdowa, niemłoda i niemająca ani obowiązków, ani sposobu do życia, zgodziła się bardzo chętnie za dach nad głową i kawałek chleba w Bielicy zamieszkać. Mógł tedy Imć pan Symcha odjeżdżać spokojnie, z przekonaniem, że w domu wszystko będzie dobrze, —mógł tem śmielej, że żona jego, aczkolwiek kobieta młodziutka i niedoświadczona, od razu wykazała wielkie zdolności szynkarskie.

Córka Gansfedera!

Była to kobieta śmiała i odważna. Gdy jednej

nocy, podczas nieobecności Symchy, zerwał się straszny wicher, tak, że drzewa łamał i oknami wstrząsał, ciotka Gitla o mało nie umarła ze strachu—pani Symchowa zaś śmiała się i z wichru i z ciotki.

Innym znów razem, w nocy również, dało się słyszeć przeciągłe gwizdanie i szybki tętent koni. Było już bardzo późno, światło zgaszone, obie kobiety spały.

Pierwsza przebudziła się ciotka, i, dzwoniąc zębami ze strachu, zaczęła budzić panią Kaltkuglową.

— Wstawaj!—wołała—wstawaj co żywo! schowajmy się, uciekajmy!...

Pani Ita z największym spokojem zapytała:

— Po co?

— Ależ tu, koło domu, jacyś obcy ludzie chodzą, gwiżdżą...

— Co to ciotce szkodzi, że oni gwiżdżą?... widać im wesoło. Czy ja mogę bronić im gwizdać?

— Ależ to może złodzieje, rozbójnicy... napadną nas, zrabują!—krzyczała przerażona niewiasta.

— Niech ciotka idzie spać i mnie nie przeszkadza.

— Więc ty się nie lękasz?!

— Czego się mam lękać?



Rzekłszy to, usnęła najspokojniej, lub też udała, że śpi, aby nie odpowiadać na trwożliwe pytania starej kobiety.

Rzeczywiście nie było czego się bać, a strach, jaki przejmował szanowną ciocię, mógł wyniknąć poprostu z przywidzenia. Złodzieje nic nie ukradli, zbójcy nikogo nie zabili,—a że ktoś gwizdał po nocy, to bagatela. Mógł to być chłop pijany, powracający do domu—a może jaki ptak obudził się w lesie i zaśpiewał. Ktoby zważał na wszelkie szmery, ten chybaby całą noc oka nie mógł zmrużyć i z bezsenności umrzeć. Bardzo się uśmiał z obaw ciotki i Symcha i Gansfeder, który razem z nim do Bielicy przyjechał,—żeby zaś uchronić staruszkę od podobnie przykrych wzruszeń na przyszłość, zaręczyli obadwaj wielkiem słowem, że jej nic nie zagraża i zagrażać na przyszłość nie będzie,—że Bielica jest to takie miejsce szczególne, że żaden zbójca, żaden grabieżnik nie pomyśli nawet o napadzie. Jeżeliby nawet, wypadkiem, kiedykolwiek przyszedł, to tylko jako gość, żeby się ogrzać i wódki napić za gotówkę—i jeżeliby przyszedł, to też ciotka nie miałaby powodu do strachu, zbójcy albowiem wyglądają z pozoru jak zwyczajni ludzie i żaden nie ma na czole napisane, jaki jest jego proceder.

Te argumenta, do pewnego stopnia przynaj-

mniej, uspokoiły trwożliwą niewiastę — i więcej już o napastnikach nie wspominała.

Odwiedzili Symchę obadwaj smolarze i obadwaj rybacy,—rzeczą słuszną jest bowiem, aby sąsiedzi się zapoznali.

Smolarze byli to rodzeni bracia: Icek i Josek Weinsteinowie, bardzo porządni procederzyści, mieszkali w lesie i użalali się, że smoła bardzo mały ma odbyt.

— Nieraz—mówił Icek—dwa tygodnie trzeba się wlec od wsi do wsi, żeby jedną beczkę rozprzedać.

— To prawda—potwierdził Josek;—lepiej zajęczemi skórkami handlować, aniżeli takim szkaradnym towarem.

— Czekajcie i bądźcie cierpliwi—rzekł Imć pan Gansfeder,—przyjdzie czas, że jeszcze i u was będzie święto.

— Słyszymy to od was od pół roku, ale, jak dotąd, mamy bardzo dużo strachu, a bardzo mało pieniędzy. Ja onegdaj, w miasteczku, myślałem, że będzie bardzo źle.

— Dlaczego?

— Był ktoś, co mię pytał, co ja robiłem w poniedziałek. Głupie pytanie! Odpowiedziałem mu, że jestem smolarz i że robię smołę, a jeżeli jej nie ro-



bię, to sprzedaję. Chwała Bogu, poszedł sobie, ale ja bardzo się zląkłem i zaraz odjechałem. Ja naturę mam taką, że nie cierpię, gdy mnie kto pyta... Co mu do tego? Na co kto ma wiedzieć, co ja robiłem w poniedziałek?... Może wcale nic nie robiłem, możem odpoczywał?

Rybacy nie byli tak płaczliwi jak smolarze, może dlatego, że mieli lepszy handel, lepsze pożywienie,—wogóle nie uskarżali się na losy: Czy zimą, czy latem, zawsze to jest wesoły proceder, zwłaszcza gdy dzierżawa kosztuje mało, a jezioro jest rybne. Jeden dowoził swój towar do jednego miasteczka, drugi do drugiego. Nie przeszkadzali sobie bynajmniej, owszem podczas połowów zimowych łączyli się w jedną kompanię.

Złoci ludzie i bardzo uczynni; nie tylko jeden dla drugiego, ale dla obcych robili niekiedy duże dogodności i Gansfeder miał im niejedno do zawdzięczenia, szczególniej Nucie, który dzierżawił większe jezioro.

Z jednego brzegu było ono zarośnięte wysoką trzciną, jakby lasem; ta trzcina rosła na kilkunastu morgach przestrzeni, a wśród jej gąszcza były jakby ścieżki, może przypadkiem, może naumyślnie zrobione, były kępy suche, były obalone kłody drzewa, napół zgniłe, wypróchniałe w części; takie miejsca, po

których można było przejść suchą nogą, i takie, gdzie nieświadomy człowiek utopiłby się odrazu.

Śliczna trzcina, a Nuta znał ją doskonale—i jeżeli trzeba było co ukryć, albo nawet kogo ukryć, to go ukrył i schował przewybornie.

Ktoby puszczał się na poszukiwanie po takich zaroślach, gdzie ani przejść, ani czółnem przepłynąć niema sposobu, a choć jest—to nie każdy o tem wie!

W tę zwartą ścianę trzciny wrzynał się jakby klinem półwysep, o twardym gruncie, i drzewa nawet na nim rosły, ale z biegiem czasu poobalały się, czy je może kto pościnał; od strony lądu woda zrobiła przerwę, czy też może ją kto zrobił,—i tak przypadkiem, czy z umysłu, półwysep zrobił się małą wysepką, która zupełnie zniknęła w trzcinie, że jej wcale znać nie było.

Nuta wiedział o niej, gdyż od lat dwudziestu jezioro dzierżawił, wiedzieli i rybacy—ale to byli ludzie pewni i małomówni; na co zresztą mieli opowiadać komu, że wśród trzciny jest wysepka, że są suche miejsca, że dostać się do nich można od środka jeziora?

Drugi rybak, Wulf, także o owych kryjówkach mógł coś wiedzieć, ale on się niemi nie zajmował. Jego specyalnością były wielkie bagna, przepaściste, groźne dla każdego, ktoby chciał się przez nie przedostać. Miejscami krzaki wysokie na tych bagnach kępami porastały, olszyna czerniła się z daleka; były więc kawałki gruntu suche na tych bajorach, tylko niedostępne. Wulf jednak bywał i w krzakach i w olszynie,—znał on przejścia wszelkie tak dobrze, że mógł wygodnie spacerować tam, gdzie, jak się zdawało, noga ludzka stąpić nie może bezkarnie.



U Wulfa, pomiędzy rybakami, był na służbie od lat kilkunastu chłop dziwaczny, mały, krępy, na jedną nogę utykał—„Kuternogą“ go przeto zwano. On także znał wszystkie przejścia i lasy okoliczne, a zwierzynę tropił lepiej, niż najlepszy ogar albo wyżeł.

Pracował ten chłop i na jeziorze w razie potrzeby, ale tylko w razie potrzeby koniecznej, gdy sami żydzi rady dać sobie nie mogli, lecz głównem jego zajęciem było polowanie. Strzelał on jak mało kto z broni, z którejby nie każdy wystrzelić się odważył—taka była stara, łatana, lutowana, powiązana sznurkami, jednem słowem gruchot, jak się zdawało, bardzo niebezpieczny, bo przy pierwszym wystrzale mógł się na kawałki rozlecieć—ale to się tylko zdawało. Gruchot w ręku Kuternogi wyborną był bronią. Ubił on z niej niemało wilków, lisów, jastrzębi i innych zwierząt i ptaków drapieżnych. Na inną zwierzynę strzelby nie używał, bo mu straż leśna róż-

ne czyniła wstręty, musiał więc polować tak, aby huku nie czynić—a miał na to tysiące sposobów: samotrzaski różne misterne, siatki, żelaza, wnyki i zatrzaski własnego pomysłu.

Gdy Wulf potrzebował zwierzyny lub skórek, Kuternoga szedł do lasu, niby do swojej śpiżarni, i co było potrzeba dostawał.

Nie miał ten chłop żony, ani dzieci, w biednej chacie nad jeziorem mieszkał i jeść gotowała mu stara babina, krewna jego, owdowiała, bezdzietna, nie mająca gdzie głowy przytulić. Wulf bardzo był dla Kuternogi uprzejmy i cenił jego wysokie zalety. Płacił mu za usługi niewiele, a że chłop potrzeb nadzwyczajnych nie miał i upijał się bardzo rzadko, więc skąpa zapłata od Wulfa na potrzeby mu wystarczała. Na świat Kuternoga wychodził nie często, w miasteczku zaledwie go kilka razy do roku widziano, stosunków z ludźmi żadnych prawie nie utrzymywał.

Takich to sąsiadów najbliższych miał Symcha Boruch na swojej nowej siedzibie. Gansfeder odwiedzał go często—i znać było, że jest z zięcia zadowolony; natomiast pan Dawid Kaltkugel, ojciec, niepokoić się zaczął.

Już Symcha w Bielicy cały rok przemieszkał, już się i syna doczekał, gdy jednego razu w porze wieczornej ojciec go odwiedził.



Przyjechał naumyślnie z Trzmiela wynajętą furmanką—i ledwie zsiadł z woza, zaraz syna na osobną rozmowę wyprowadził.

Twarz Imć pana Dawida wyrażała niepokój.

— Słuchaj-no, Symcha—rzekł,—u nas w Trzmielu był bardzo brzydki wypadek.

— Cóż takiego?

— Pożar, wielki ogień, o mało cała wieś nie poszła z dymem.

— Cóż się tam spaliło?

— Cała siedziba chłopa Muchy.

Symcha uśmiechnął się złośliwie.

— Tego gałgana, co to, jeżeli pamiętacie, wybił mnie paskiem? Bardzo dobrze, bardzo dobrze, że ogień na niego przyszedł. Niech taki łajdak zginie!

— Symcha, to nie jest dobrze.

— Dla Muchy niedobrze, dla mnie doskonale... ja się bardzo cieszę.

— A ja ci mówię, że niedobrze i dla ciebie.

— Z jakiej przyczyny?

— Komisya była, śledztwo było... ludzie widzieli, że jeden z synów Nechemiasza kręcił się wieczorem koło wsi, a w nocy, ledwie się dobrze ściemniło, ogień wybuchnął. Na Nechemiaszowego syna podejrzenie jest, jego złapią...

- To co?

-- Wsadza do więzienia, będą dopytywali. Aj, Symcha, ty masz niepięknych sąsiadów.

— Mam takich, jakich mam, a bać się nie potrzebuję. Czego? Chałupa się spaliła w Trzmielu, ja tutaj siedzę, w Bielicy, o niczem nie wiem... Kiedy się spaliłε?

— Wczoraj w nocy.

— Dziś już mamy także prawie noc, a ja dowiaduję się dopiero o tym wypadku. Nechemiaszowego syna widzieli we wsi. Cóż nadzwyczajnego? Nie pierwszy raz go widzieli, był tam w swojem życiu ze sto razy i nigdy się pożar nie zrobił.

— On się kręcił.

— My wszyscy kręcimy się po wsiach za interesami, za handlem.. Czy to znaczy, że podpalamy domy? Posądzają Nechemiaszowego syna! Niech posądzają. Gdzie dowód? Jego posądzają... dlaczego ojciec o mnie się lęka?

— Ja się lękam, bo on twój sąsiad, a może nawet twój wspólnik... albo ja wiem, co między wami jest?... dość, że się lękam i przyjechałem ci to powiedzieć, i jeszcze kilka słów prócz tego.

— Słucham, niech ojciec mówi.

— Ty za prędko idziesz, Symcha, ty za prędko zbierasz...



— Czy to źle? Kiedy mam się dorabiać, jak nie teraz, póki młody jestem?

— Twój teść Gansfeder zaczyna mi się niepodobać.

— A mnie on się podoba coraz lepiej. To bardzo mądry jest i bardzo obrotny człowiek. Niech ojciec o nim źle nie trzyma. Wreszcie, czy ojciec bardzo się zmartwi, jeżeli ja dojdę do majątku?

— Daj ci Boże... owszem... tylko...

— Cóż tylko?... tylko, ciągle tylko... co ojciec chce powiedzieć?

— Boję się.

— Ale czego?

— Ciebie mogą złapać, Gansfedera mogą złapać, Nechemiasza z synami, smolarzy, rybaków...

— Cha, cha! takim sposobem cały świat może być złapany! Nie, ojcze, tak nie będzie, bo i za co ma nas kto łapać?

— Mówią, opowiadają, że koni dużo w okolicy ginie...

— Ginie?... niech pilnują. Co mnie do tego?

— Mówią... słuchaj Symcha, takie rzeczy mówią, że ja zaczynam się bać naprawdę. Mnie to nie szkodzi, że ty majątek prędko robisz, owszem, ja się cie-

szę, ale wolałbym, żebyś sobie był wybrał bezpieczniejsze zatrudnienie.

Symcha Boruch roześmiał się ironicznie.

— Aj, znać, że ojciec zawsze prowadził zwyczajne interesa wiejskie, to lada czego ojciec się lęka... Mnie nie będzie nic...

Z powodu, że noc była bardzo ciemna, Imć pan Dawid został u syna na noc i, zjadłszy kolacyę, położył się spać bardzo wygodnie, na pościeli — jednak, pomimo tej wygody, zasnąć nie mógł na żaden sposób. Wśród nocy zdawało mu się, że koło domu ktoś chodzi, że słychać rozmowę, stąpanie koni. Zauważył także, ze Symcha kilkakrotnie wstawał i wychodził — dopiero nad ranem wszystko się uspokoiło i ucichło.

Imć pan Dawid rozmyślał i doznawał bardzo przykrych wrażeń; on sam także chciał mieć majątek i duże dochody, ale choćby mu złoto płynęło do ręki jak woda, nie podjąłby się niespokojnego zatrudnienia. Taką już miał naturę, takie delikatne zdrowie, że strach przyprawiłby go o ciężką słabość, a może nawet i o śmierć.

Nad ranem, zaledwie trochę rozwidniło się na świecie, zaczął się ktoś gwałtownie dobijać do karczmy. Kołatał pięścią w okna tak, że o mało szybki z ram nie wypadły, i krzyczał na cały głos, żeby otworzono mu prędzej.



— Słyszysz, Symcha?—zapytał Dawid syna.

— Słyszę.

— No, to idźże, wstań i otwórz.

— Niech trochę poczeka, taki cham może poczekać.

— Zkąd wiesz, że to cham?

— Bardzo dobrze wiem; wiem, że on z Wólki jest, fornal albo parobek, a może ekonom... i to wiem z pewnością, że sam nie przyjechał, ale z kilkoma ludźmi. Niech ojciec leży i nic się nie odzywa, ja im pójdę otworzyć.

Wstał Symcha z łóżka, ubrał się i wpuścił do izby karczemnej ogromnego mężczyznę z wąsami jak miotły.

— A, pan Onufry! — zawołał, udając zdziwienie—pan Onufry z Wólki. Co pan ekonom tak rano w podróż się wybrał?...

— Niech ją taką podróż! Od północy z dwoma fornalami pędzę bez wytchnienia, w koniach już duchu mało... musiałem tu przystanąć i dać im wytchnąć.

— Przepraszam, co panu ekonomowi tak pilno? Po co pan śpieszy?

— Gonię wiatr w polu, złodziei szukam... Konie nam ukradli...

— Konie dworskie?

— A dworskie...

— Ile tych koni było?

— Para, ale co najlepsze. Wiedział łajdak, co brać.

— Oni zawsze wiedzą.

— Ukradli je zapewne wieczorem, jak ludzie byli na kolacyi; ja spostrzegłem kradzież dopiero koło północy. Powsiadaliśmy na konie; ja z dwoma parobkami puściliśmy się w tę stronę, karbowy znowuż z dwoma w drugą.

— Koło północy, koło północy—rzekł Symcha, kiwając głową,—to musiał pan tęgo gnać, skoro już o tej porze tu jesteście.

— Konie też ledwie tchną. Pytaliśmy po wsiach... ale co to! jedni mówią, że widzieli, drudzy, że nie widzieli. Goni się wiatr po polu, i tylko... Gdzie to dziś kto złodzieja dopędzi!

— Prawdę pan powiada, bardzo wielką prawdę. Złodzieje teraz takie mądre, że niech Pan Bóg zabroni; dopiero są, już ich niema; dopiero ich niema, już są. Nie pamiętam takich paskudnych czasów. Podług sprawiedliwości, pan ekonom powinien troszkę odpocząć, wódki się napić i ludziom też dać.

— Gonił jabym bez ustanku, żeby nie konie; ale zmordowane na szczęt, ledwie tchną.



— Może parę wiązeczek siana?

— A jest?

— U mnie wszystko jest, co tylko może być potrzebne w podróży; ja zaraz każę dać. Niech konie spoczną i ludzie niech spoczną. Aj, takie czasy, takie czasy!... Niema tygodnia, żeby nie było słychać o kradzieży. Pewnie pan ekonom lubi mocną gorzałkę?

— Po takiej gwałtownej jeździe... spodziewam się. Pięć mil blisko, i jakiej jazdy! Bez pardonu, co koń wyskoczy... Żeby ich marności ogarnęły!

Symcha nalał ekonomowi wódki i kilka czerstwych bułek na stół rzucił, kilka wiązek siana ze stajenki przyniósł, a potem powrócił do izby i zaczął z ekonomem gawędzić.

— Dlaczego pan tędy za nimi goni?

— Tak niby ze śladów wypada.

— Czy pan wierzy w złodziejskie ślady? Oni naumyślnie tak kręcą, żeby drogę zmylić. Pan goni ich tędy, tymczasem to ślad fałszywy... oni inną drogą uciekli.

— Może być.

— Prawie zawsze tak jest. Pan się zapędził aż tu, do Bielicy, pięć mil drogi, karbowy pognał w inną stronę, także pięć mil drogi, albo i więcej... a oni może siedzą gdzie blisko. Może ukryli konie w chłop-

skiej stodole między zbożem, może w jakim budynku w miasteczku, i czekają. Poczekają dwa, trzy dni, a potem pojadą sobie nocą, pomaleńku, spokojni, że już ich nikt gonić nie będzie.

— Zepewne, że tak jest, jak Symcha mówi— rzekł ekonom. — Tak samo było rok temu, kiedy w Biedrzeńcu konie skradli. Ludzie ganiali a ganiali po całej okolicy przez trzy dni, a później pokazało się, że konie były ukryte w lesie, o pół mili za wsią.

— Znaleźli?

— Koni nie znaleźli, ale się wykryło wszystko. Ot, niema co mówić—rzekł i machnął ręką niechętnie.

— Trzeba dobrze zamykać, psy trzymać, pilnować.

— At, na złodzieja zamka niema; psów otrują, a pilnowanie... chyba, żeby człowiek nic innego nie robił, tylko dzień i noc w stajni siedział, to możeby upilnował. Z pastwiska, przy ludziach, też ukraść potrafią...

— Prawda, prawda—potakiwał Symcha,—to są nadzwyczajne łajdaki. Co pan ekonom myśli dalej robić?

— Albo ja wiem; poczekam, aż konie wypoczną, ibędę gonił dalej, bo dziedzic mówił, żeby gonić choćby dwadzieścia mil, byle złapać. Konie łatwo po-



znać: oba szpakowate, dobrane do maści i do wzrostu jak jeden. Piękne konie, kosztowały czterysta rubli.

— Czterysta?

— A no tak. Czy warto trzymać takie konie!?

— Ja sam powiadam, że nie warto; teraz najlepiej trzymać same gałgany, kulawe, chude, z felerami; na takie złodziej się nie ułakomi; a jeżeli się ułakomi, to przynajmniej niewielka strata... Pan ekonom chce gonić złodziei... ale którędy? drogi różne tu są.

— Właśnie chciałem się was poradzić, Symcha. Według tego, jak mi ludzie po drodze mówili, wypada, że albo przez samą Bielicę, albo bardzo blisko Bielicy musieli uciekać. Chłop jeden, co wracał późno już do domu wozem, mówił, że go minęli dwaj jacyś na tęgich koniach i że popędzili ku Bielicy. Nocą maści dobrze nie mógł rozróżnić, ale zdaje mu się, że konie szpakowate były... Pewnie nasze. Nie rozmawiałem z chłopem długo, bom nie chciał czasu tracić, pędziliśmy dalej co koń wyskoczy, ale tu nam konie ustały. Ztąd mogli oni dwiema drogami pojechać: albo lasem do dużego gościńca, albo manowcami ku jeziorom. Podług mego pomiarkowania, do gościńca chyba nie pojechali, bo już się na dzień miało; więc prędzej ku jeziorom. Czy Symcha w nocy jakiego hałasu nie słyszał?

— Owszem, słyszałem; właśnie tak, jakby kto bardzo prędko jechał na koniu. Słyszałem, nawet byłem w strachu, czy nie jacy źli ludzie. Wyszedłem na podwórko, żeby zobaczyć, kto.

— I widzieliście?!

— Człowiek nie jest kot, nie ma takich oczu, któreby widziały w ciemności; ale to wiem, że byli ludzie na koniach.

— Dwóch?

— Zdaje mi się, że więcej. Może czterech, może pięciu.. nie rachowałem, ciemno było...

— Pięciu—powtarzał w zamyśleniu ekonom,— zkądże, u dyabła! Ukradli przecież tylko dwa konie.

Symcha, jak gdyby nie rozumiejąc słów ekonoma, ciągnął dalej:

— Chociaż było ciemno, to jednak mogłem zmiarkować, że pojechali oni dróżką ku jeziorom.

— Jakżeście to poznali?

— Po słuchu. Cztery albo pięć koni, to nie bagatela, poznać można. Później położyłem się spać. Ledwie co zdrzemnąłem się cokolwiek, znowuż zrobił się hałas; znów byłem w strachu, znów wyszedłem. Także byli na koniach, ale nie pięciu, tylko dwóch.

— Dwóch!

— Wyraźnie widziałem. Co więcej jeszcze powiem panu ekonomowi, ja rozmawiałem z nimi.



— Więc mogliście się im przypatrzeć?

— Nie, myśmy rozmawiali z daleka. Nie taki ja głupi, żebym miał się zbliżać do ludzi, którzy nocną porą jeżdżą. Pytali, którędy dostać się można do gościńca, powiedziałem im, że na prawo, i zdaje mi się, że pojechali na prawo.

— To pewnie nasze konie były...

— Nie wiem, może wasze, może nie wasze, ale tęgo zmęczone, aż chrapały...

Ekonom podziękował za informacye i za dobrą radę, a gdy konie odpoczęły, popędził z fornalami w kierunku przez Symchę wskazanym.

Imć pan Dawid Kaltkugel, leżąc w drugiej stancyi na łóżku, uważnie przysłuchiwał się rozmowie; a gdy ekonom odjechał już, wstał i wyszedł do syna.

— Widzi ojciec — rzekł Symcha, — jaki to mój los: wciąż ludzie przyjeżdżają i wciąż dopytują. Żebym milczał, mogliby mieć na mnie brzydkie jakie posądzenie; wolę więc mówić.

— Prawdę?

— Przecież ojciec słyszał. Kto może poznać prawdziwą prawdę podczas ciemnej nocy? Mówiłem, co mi się zdawało. Mogło mi się zdawać dobrze, mogło źle; to nie moja wina... Tu, w Bielicy jest ka-

wałek chleba, nawet spory, ale niespokojny. Spać nie dadzą. Taki już mój los.

Pan Dawid długo chodził po stancyi i rozmyślał. Nie podobało mu się u syna. Ten nocny niepokój, wstawanie, to dobijanie się do drzwi nad ranem. Zapewne; interes to jest, spekulacya, jak każda inna— ale nieprzyjemna spekulacya. Ciągła trwoga; chociaż może to się tak tylko nieprzyzwyczajonemu wydaje. Symcha nie zdradza żadnej obawy, a o przygodach nocnych mówi tak spokojnie, jak piekarz o bułkach. Gdyby się obawiał, nie miałby tej pewności siebie.

— Słuchaj-no, Symcha — rzekł po długiem rozmyślaniu do syna,—ja muszę wracać do domu.

— Owszem, niech ojciec jedzie zdrów.

— Jednak moje serce nie jest spokojne. Ten pożar w Trzmielu, ten syn Nechemiasza, to mieszkanie Nechemiasza tu, przy tobie, te ludzkie gadania... wszystko budzi we mnie obawę. Ja się bardzo boję. szczerze ci powiadam... boję się o ciebie.

— Mogę was zapewnić, że mi ani jeden włos z głowy nie spadnie; że nie jestem tak głupi, żebym się dał złapać.

— Złapać? Symcha, więc naprawdę?...

— Aj, proszę ojca, o czem tu rozprawiać? Naprawdę, czy nie naprawdę, skoro ja jestem spokojny, to dlaczego ojciec się lęka? Ja widzę, że ludzie starsi mają bardzo niewiele śmiałości. Niech ojciec jedzie do domu w dobrem zdrowiu, niech ojciec handluje sobie dalej w Trzmielu z dobrem szczęściem, a o mnie niech ojciec się nie martwi, ja będę swój handelek prowadził.



— Najbardziej niepokoi mnie ten chłop Mucha. On coś miarkuje; nic nie mówi, ale miarkuje, a to zawzięty człowiek.

— Niech sobie będzie jaki chce; co mnie do niego? Dla ojca bardzo dobrze, że on zawzięty. Zechce prędko odbudować swoją chałupę i stodołę, będzie potrzebował pieniędzy i niezawodnie przyjdzie do was. Można będzie pociągnąć z niego porządnie w takim wypadku.

Imć pan Dawid, nie bardzo przekonany, ale uspokojony trochę tem, że synek jest tak pewny siebie, odjechał do domu i zajął się swemi interesami, Symcha zaś pozostał przy swoich. Czasem wyjeżdżał do teścia, czasem z teściem razem puszczał się w dłuższą drogę, ale najczęściej przesiadywał w domu, w Bielicy. Częstokroć mówił do ludzi, którzy się w jego karczmie zgromadzali, że nie cierpi interesów, za któremi trzeba jeździć; że mocno wierzy w przysłowia: iż dwóch srok od razu łapać nie warto, że lepszy wróbel w ręku, niż sokół na dachu, oraz że i kamień na miejscu porasta.

Stali goście karczmy bieleckiej, a także częściej przejeżdżający podróżni, umieli to na pamięć, tak często im Symcha te słowa powtarzał. Wiedzieli również o tem, że ma on zamiar opuścić tę karczmę, skoro mu się tylko coś odpowiedniego trafi, w Bielicy albowiem ma nieustanne przykrości. Miejsce samo ma złą opinię, a przytem mieszkanie na uboczu, wobec ciągle powtarzających się kradzieży, jest nieprzyjemne w wysokim stopniu.

Wylewając te uczucia żalu i niezadowolenia, Symcha tak strasznie przeklinał wszystkich rzezimieszków, łotrzyków i złodziei, że, gdyby spełniła się choćby tylko setna cząstka tych życzeń, możnaby zniszczyć wszystkie zamki i klucze i wyrzucić, jako przedmioty zgoła zbyteczne i niepotrzebne. Nienawidził on wrogów cudzej własności straszliwie, a mówiąc o nich, miotał się i pienił z wielkiego gniewu. Zdarzało się nawet kilkakrotnie, że czynnie pomagał wójtowi w tropieniu rzezimieszków i doskonale prowadził pogoń śladami. Że się nie udało złapać łotrów—to inna rzecz, niemniej jednak gorliwość Symchy Borucha godna była uznania.

Ludzie źle mówili o starym Nechemiaszu kowalu; ma się rozumieć były to plotki niecne. Symcha potrafił dowieść swoim gościom niezasadności owych gawęd, pokazał im bowiem podkowę ze znakiem, po



którym kradzionego konia łatwo można poznać i własność swoją udowodnić, choćby nawet koń był już ufarbowany.

Te ulepszone podkowy wymyślił właśnie Nechemiasz. Skoro Symcha ludziom o tem powiedział, zaczęto zaraz sprowadzać do Bielicy konie, celem zaopatrzenia ich w podkowy znaczone. Stary kowal z synami ogromną miał robotę i ledwie mógł nastarczyć zamówieniom. Kto chciał mieć podkowę ze znakiem—miał ze znakiem, z literą—to z literą; Nechemiasz z synami kuł, aż się echo rozlegało; z pod młotów złociste padały iskierki, a ludzie, czekający na podkucie koni, zakrapiali się gorzałką, bawiąc się przytem dyskursem z Imć panem Symchą Boruchem i jego małżonką. Ta w obcowaniu z ludźmi uprzejmość dobre miała wpływy: ogłoszono Symchę za człowieka bardzo zacnego i uczciwego; który i wódkę ma dobrą i w żadne brzydkie interesa nie wchodzi.

Bywają niekiedy w karczmie ludzie podejrzani, ale z tego szynkarzowi nie można robić zarzutu. Karczma jest domem otwartym dla wszystkich, wejść do niej może kto chce, a nie jest rzeczą Symchy żądać od przejezdnych i przechodniów, aby się przed nim z rodowodem stawiali i zeznawali, co zacz są i jakie jest ich zatrudnienie.

Kto Symchę znał bliżej, ten wiedział,. że jest czysty jak bursztyn; kto nie znał, bajdy różne plótł, z posłuchów chwytane. Ludzie mają złe języki i brzydkie usta, a przecież ani pierwszych im poucinać, ani drugich pozalepiać nie można. Mówią niestworzone rzeczy; niech mówią, ale prędzej czy później prawda wypłynie na wierzch, jak oliwa, a cnota ukaże się w całej jasności i blasku.

Swoją drogą plotkarstwo sprowadza złe skutki. Symcha Boruch dwa razy wzywany był do sędziego śledczego. Za pierwszym razem bawił krótko i tegoż samego dnia powrócił do domu, druga wizyta trwała blizko tydzień. Nie lubił o tem Symcha wspominać, bo nie było o czem Przepędzić cały tydzień w obcem miejscu, w takim domu, gdzie są okna zakratowane, brak porządnych mebli, nie należy do przyjemności — a właśnie Symcha w takiem brzydkiem miejscu przez siedem dni siedział i ciągle był trapiony niepotrzebnemi pytaniami.

W rezultacie pokazało się, że niema dostatecznych racyi do dłuższego zatrzymywania go w tym przybytku—i pozwolono mu odjechać do domu. Symcha jednak, zamiast do domu, udał się do Imć pana Gansfedera, i obaj odbyli bardzo długą i poważną konferencyę.

Po tej konferencyi w Bielicy ruch zmniejszył



się bardzo. Jeździli ludzie drogą, ale sami chłopi, przeważnie z Bielicy, lub sąsiednich wiosek, obcy człowiek rzadko się pokazywał, czasem wlekli się smolarze z mazią, rybacy z rybami — i na tem koniec.

Nechemiasz z synami wywędrował — podobno robota jakaś mu się trafiła o kilkanaście mil drogi.

Jeżeli ukradziono komu konie, to już złodzieje drogi na Bielicę nie obierali, lecz uprowadzali zdobycz innemi szlakami. Symcha nie był więcej zaczepiany, ani badany — szynkował sobie spokojnie, narzekając na złe czasy i na mały obrót w interesach. Gansfeder przyjeżdżał do niego dość często, ale to nikogo nie dziwiło. Jako dobry ojciec i teść, odwiedzał córkę, zięcia i wnuczki.

Jednego dnia, jesienią, przybył do Bielicy rybak Wulf, gawędził z Gansfederem i z Symchą bardzo długo, poczem wszyscy trzej udali się w stronę jezior. Przybywszy na miejsce, udali się pod przewodnictwem Wulfa na bagna, prowadził ich przez suche kępki i wzgórki, zalecając nadzwyczajną ostrożność, aż nareszcie stanęli na twardym lądzie. Był to mały wzgóreczek, suchy zupełnie, ukryty w krzakach i gęstej łozie.

— Cóż? jak wam się podoba?— zapytał Wulf.

— Bardzo dobre miejsce—rzekł Symcha.

— Nie śpiesz z pochwałą, aż dobrze się przyjrzysz. Podług mego zdania, miejsce to nie jest dość ukryte...

— To już ja nie wiem—rzekł rybak, — czego wam potrzeba! Mogę was zapewnić, że żywa dusza tu nie zajrzy. Chciałbym mieć wartość tego towaru, któryśmy tu przechowywali. Czy znalazł go kto kiedy?

— Zapewne...

— A przecież chodzili, okrążali, szukali tyle razy.

— Musieliście być w dobrym strachu — rzekł Symcha.

— Wcale nie—odpowiedział rybak. — Paliłem najspokojniej fajkę, oprowadzałem ich po krzakach; wójtowi rzekłem, że podobno jest dróżka tędy na lewo, można przejść, poszedł i zapadł się w gęste błoto, po sam pas, ledwie go wyciągnęli. Odechciało mu się szukać...

— Swoją drogą—rzekł Gansfeder, — ja myślę, że na ten interes, co nam potrzeba, to nie jest doskonały plac.

— Albo ja wiem... Mnie się zdaje, że dobry.

— A gdzie podziejemy dym?

Wulf zastanowił się...



— Prawda—rzekł, — gdzie mamy podziać dym?

— Zróbmy próbę—rzekł Gansfeder:—naznośmy gałęzi i zapalmy...

We trzech wzięli się żwawo do noszenia gałęzi, ułożyli spory stos i zapalili go.

— A teraz—rzekł Gansfeder — prowadźcie nas nad jezioro, do waszej izby i na dróżkę. Obaczymy, jak to wygląda...

Źle wyglądało—dym, przy ciężkiem powietrzu, wlókł się nad wzgórkiem białemi chmurami; widać go było z każdej strony.

Wulf zamyślił się i rzekł:

— Jest sposób!

— Jaki?

— Na dym jest drugi dym.

— Jak to mamy rozumieć?

— Zamiast dymu małego, który będzie się pokazywał przypadkiem, zrobimy wielki dym, który nikogo nie zadziwi...

— Jak?

— Załóżmy nowy geszeft: smolarnię, albo piec do wypalania węgli. Co myślicie o tem?

— Bardzo dobry sposób, doskonały.

— Niema co mówić—wtrącił Symcha, — to jest dobrze pomyślany interes, bardzo dobrze...

— Mogą być nawet dwa piece, zupełnie jawne... Nie trzeba tracić czasu, tylko brać się co rychlej do rzeczy...

— Mój młodszy brat—rzekł Gansfeder—bardzo jest w takich rzeczach wypraktykowany, on to najlepiej urządzi.

— A w jaki sposób zwieziemy naczynia i wszystko, co potrzeba?...

— O to niech cię głowa nie boli! Zwiezie się częściowo, po kawałeczku, a złoży się na miejscu...

Symcha, z teściem do wspólki, nabył partyę drzewa i wziął się do wypalania węgli.

— Widzicie—mówił do ludzi w karczmie,—jak ja się dorobiłem na tej kochanej Bielicy: jeść nie mam co... Muszę się ratować innemi sposobami: węgle kowalskie wypalać! Taka to nagroda rzetelnych ludzi...

— Prawda, prawda! — przytakiwali pijani chłopi.

— Gdzie karczmę trzyma łajdak, to robi majątek; porządny człowiek nie ma nic. Inni fałszują, szachrują... ja idę prostą drogą. Czy daję wam złą wódkę?

— Juści, że nie.

— Czy biorę drożej, niż inni?

— Owszem, taniej.



— Widzicie, przekonajcie się sami... Co warta dziś na świecie rzetelność? Ja muszę dobrze głową kręcić, żeby na kawałek chleba zarobić; muszę się brać do takich interesów, jakich ani mój ojciec, ani mój dziadek nie robił: węgle wypalać!

---

## KSIĘGI CZWARTE.

**Jako Symcha Boruch dość podłym towarem handlujac do mienia znacznego doszedł i jako przez czas pewien medytacyom się oddawał.**

Dziesięć lat z okładem w Bielicy Symcha przesiedział, siedmiorga dzieci się doczekał, a tak w cyrkumferencyi zgrubiał i na obliczu potłuściał, że niktby w nim nie poznał owego mizernego i głodnego zawsze dzieciaka, co do akademii Klopmanowej uczęszczał i, płacząc ciągle prawie, stare księgi odczytywał. Z dzieciaka wyrosła persona poważna co się zowie — okazała, z brodą ryżą, szeroko na piersi spadającą. Siłę w tym człowieku znać było i pewność siebie niezmierną. Gdy do miasteczka przyjechał,



z góry na dawnych znajomych patrzył, jakby chcąc im powiedzieć: „Mówiliście, żem głupi i do niczego nie dojdę; tymczasem, patrzcie! W co się obróciły wasze przepowiednie?“

Bardzo pyszny był Symcha i miał z czego: w rodzinnem mieście obywatelem został, dom kupił w samym rynku, wprawdzie nie na swoje imię, ale każdy wiedział, że to jest dom jego, za jego własne pieniądze. I o tem również wiedzieli, że Symcha pełną kieszeń rewersów ma, że nie jest u niego nadzwyczajnością dać zaliczenie na zboże, albo i na prosty weksel komu wygodzić.

Dziwili się, zkąd tak prędko doszedł do kapitału, opowiadali sobie różne historye, ale tylko pod sekretem, na ucho; zazwyczaj bowiem tak się działo, że zbyteczna gadatliwość sprowadzała na plotkarza pożar, albo inne nieszczęście. Czas taki w tej okolicy zapadłej nastał, że należało ostrożność w mówieniu zachowywać, gdyż niewiadomo zkąd i z której strony na gadatliwych spadały nieszczęścia.

Symcha Boruch, zazwyczaj jak każdy szynkarz, z konieczności rozmowny, spoważniał i zamknął się w sobie; mało mówił, w razie chyba koniecznej potrzeby. Do gawędzenia z gośćmi sprowadził swego młodszego brata i jemu miał podobno karczmę w Bielicy odstąpić. Byłoby to od razu przyszło do skutku, ale zachodziła poważna przeszkoda.

Wypalaniem węgli trudnił się głównie Imć pan Icek Gansfeder, brat Symchowego teścia, człowiek dziwnie ponury i nieprzyjemny. Miał on brzydki zwyczaj, że nigdy nikomu nie spojrzał wprost w oczy, lecz wzrok do ziemi spuszczał, jakby czegoś szukając. Węglarz to dobry był i na swojej sztuce znał się doskonale, ale niekiedy miewał dziwne kaprysy.

Jednego razu, na przykład, bez żadnej ceremonii przyszedł do Symchy, w ordynaryjny sposób położył mu rękę na ramieniu i rzekł bez żadnych wstępów:

— Potrzebuję trzystu rubli, pilno!...

— Cóż mnie to obchodzi?—zapytał Symcha.

— Owszem, obchodzi cię, bo te trzysta rubli masz mi dać dziś jeszcze przed wieczorem.

— Czy kochany wujaszek, broń Boże, zwaryował?!

— Jestem przy zdrowych zmysłach. Masz dać i dasz; nawet proszę cię nie bałamucić, daj zaraz, bo ja nie mam czasu na długie konferencye. Wiadomo ci, że powinienem być teraz przy węglach...

— Dajcież pokój, co chcecie ode mnie?

— Wyraźnie ci powiadam, że chcę trzystu rubli. Wolno ci dać, wolno nie dać, ale ja cię uprzedzam, że już dość na was pracuję, że nie mam zamiaru dalej robić darmo.



— Czy nie macie zysków?!

— Nie, wy wszyscy macie zyski. Mój brat, ty, jeden rybak, drugi rybak, smolarze... chcecie majątki robić, a ja, główna w tym interesie osoba, nie mam nic.

— Mój teść daje wam piętnaście rubli tygodniowo:

— Niech jego piętnaście razy tygodniowo wielka słabość ściśnie!

— Pfe, Icku, tak nie godzi się mówić... przecież to brat.

— Żebym u obcego robił, tobym więcej miał i nie znajdowałbym się ciągle pod strachem. Zresztą nie mam co dużo gadać. Daj trzysta rubli, wracam zaraz do węgli; nie dasz, jadę dalej. Wóz i przewóz... wybieraj. Mnie się już to wszystko sprzykrzyło!

— Zastanówcie się, Icku.

— Ja się zastanowiłem.

— Ja teraz nie mam tyle gotówki, to jest suma, to jest znaczna suma!

— Nie tłómacz się, gotówkę masz w domu... ja wiem. Wczoraj sprzedałeś pięćdziesiąt korcy żyta.

— Zkąd wy możecie o tem wiedzieć?

— Wiem; zresztą, jak wasza wola; jak wam się podoba; chcecie, dobrze; nie chcecie, drugie dobrze.

— Ja muszę się rozmówić z moim teściem.

— Ja nie bronię; rozmówcie się; ale wpierw ja muszę dostać to, co mi się należy.

Próbował jeszcze Symcha Boruch łagodną perswazyą uspokoić wzburzonego Icka; ten się jednak tak zawziął, że słuchać nie chciał o zwłoce. Trzeba mu było dać odczepne. Jakoż dostał je i, nie podziękowawszy nawet, odszedł. Ten postępek rzucił na dno serca Symchy nasiona niepokoju i na dość długi czas odebrał mu sen. Słusznie można było przewidywać, że na jednem się nie skończy i że będą coraz to nowe żądania, bo chciwość ludzka nie zna granic.

Słusznie to bardzo ktoś kiedyś powiedział, czy napisał, że „grosz grosz rodzi i w dobrych rękach przyrasta"; słusznie też mówią, że nic tak zazdrości i nienawiści w ludziach nie wzbudza, jak ten grosz mizerny, który sam przez się marnością i świecidełkiem jest brzęczącem, ale, jako środek, do różnych celów prowadzi, różne pragnienia i aspiracye spełnia, marzenia nieraz w szaty rzeczywistości przyobłóczy. I Symcha Boruch i teść jego Gansfeder, którzy tak szybko, dzięki zabiegliwości swej, zręczności i sprytowi do powiększenia fortuny przychodzili, mieli niedługo poznać tę szpetną hydrę zazdrości.

Ludziom przeszkadzało to i nie podobało im się,



że ci dwaj zabiegliwi ludzie grosze robią; więc też zaczęli debatować i poszukiwać, zkąd, jak i jakim sposobem fortuna ich rośnie. Naprzód zwrócili baczne oczy na Gansfedera, bo dość im się dziwnem wydawało, aby ze zwyczajnego szynku przy rogatkach można się tak prędko mienia i to nie byle jakiego dorobić. Kombinowali rozmaicie, zbierali wiadomości luźne na pozór i nie mające z główną kwestyą związku, ale po złożeniu tego wszystkiego, wybudowali ogromny gmach plotek i gawęd, które rosły im wciąż i byłyby doszły tam, gdzie nie potrzeba, gdyby nie przytomność i bystrość umysłu Gansfedera.

Miał racyę Symcha, wychwalając wielkie tego człowieka zdolności. Gansfeder nad wszystkiem czuwał, wszystko przewidywał, miał w każdym wypadku przyjaciół wiernych, świadków do przysięgi gotowych, na wypadek pośpiechu doskonałe konie na zawołanie, niewidzialne ręce do pomocy.

W okolicy wiedziano, że nad wszystkimi wisi „ciężka ręka" i że poruszeniami jej kieruje Gansfeder; wiedziano też, że jeżeli kto chciał żyć spokojnie i bez kłopotu, trzymać dobre konie i nie obawiać się, że mu je ze stajni wyprowadzą pierwszej lepszej nocy —to mógł się udać do Gansfedera, pomówić z nim na cztery oczy, złożyć jakąś opłatę za czas umówiony i nie obawiać się niczego. W takich tranzakcyach

Imć pan Gansfeder nie zawodził nigdy i mówił, że główną każdego układu podstawą jest dobra wiara i uczciwość, i że tą tylko drogą wyrobić sobie można solidną firmę.

Swoją drogą ludzie zazdrośni i nieprzychylni mruczeli niechętnie, ale głośno nie śmieli się odzywać, w obawie ciężkiej ręki, która nie lubiła żartować.

Do mruczeń i szmerów przyłączyły się jeszcze grymasy rodzonego brata, Imć pana Icka Gansfedera. Właśnie po owej z nim przeprawie tak kosztownej, Symcha Boruch niezwłocznie udał się do teścia i obszerną mu złożył relacyę.

Gansfeder pogładził brodę, zamyślił się — a po chwili rzekł:

— Niech ci się nie zdaje, że to pierwszy raz; on już ode mnie sporo pieniędzy w ten sposób wycyganił...

— A teraz zabrał się do mnie. Ja nie wiem, co mam robić; przyjechałem do was naumyślnie, abyście mnie nauczyli, jak postąpić, gdy się znowuż coś podobnego zdarzy.

— A jakbyś ty myślał?

— Jabym jemu dał kilka razy w kark i wyrzucił go za drzwi...

— To bardzo źlebyś zrobił.

— Więc jakże? Więc niema sposobu na takiego



rozbójnika! więc on może mi zabrać wszystko, co mu się podoba?

— On nas może zadenuncyować i zgubić każdej chwili.

— Przecież jest waszym bratem, więc chybaby nie chciał przyczynić wam nieszczęścia.

— On bardzo chciwy jest, ja nie mogę za niego ręczyć.

— To po co przyjmowaliście go za węglarza?

— Nie miałem kogo innego, coby się na tem znał, a on wypraktykowany i rozumie swoją sztukę bardzo dobrze.

— I cóż ztąd, kiedy ma taką brzydką naturę.

— Ja myślałem, że on się zadowolni lada czem, że będzie poprzestawał na małem; i tak z początku było; tymczasem, jak zobaczył, że dobrze idzie, chciał coraz więcej i więcej...

— Temu końca nie będzie. Wy zróbcie z nim jaki porządek; a jeżeli nie, to wypuśćcie mnie ze spółki; ja się wyniosę do dużego miasta, będę handlował spokojniejszym towarem.

— Na to jeszcze jest czas. Przecież my obadwaj wiekować tu nie będziemy, w takim kącie; nam się należy już trochę lepsze miejsce na świecie, na nas patrzy duże miasto, duże geszefta. O tem pomówimy w swoim czasie, Symcha Boruch; na teraz trzeba

myśleć nie o tem, żebyś ty ze spółki wyszedł, a o tem, żeby Icka delikatnie usunąć.

— Jak?

— Tak, żeby nam było dobrze, i jemu było dobrze, i żeby to nas niedrogo kosztowało.

— Czy macie już jaką kombinacyę?

— Mam, i nie jedną.

— Więc na co czas tracić, na co czekać? Zrobić, nie zwłócząc, i niech on sobie jedzie, aby jak najdalej od nas, niech handluje czem chce, niech się dorabia, byle nam nie przeszkadzał i byle nas nie straszył. Strasznie to jest brzydka rzecz; my jesteśmy ludzie delikatni, my nie mamy takiego zdrowia, żeby w strachu żyć. I żeby to tylko o sam strach chodziło, to jeszcze możnaby wytrzymać, ale dopłacać dobrymi pieniędzmi do strachu... ja nie potrafię, nie moja na to siła. Dlatego stanowczo proszę, żebyśmy się nareszcie od tego człowieka odczepili, albo żeby on odczepił się od nas. Co ojciec myśli?

— Ja myślę, że trzeba mu powiedzieć, że my już dalej tego interesu prowadzić nie będziemy, że wszystko będzie zwinięte, schowane, sprzątnięte i ani śladu nie pozostanie z tego, co było.

— Czy on temu uwierzy?!

— Może uwierzy. Prócz tego, powiem mu, że my, oceniając zasługi, jakie on dla nas położył, chcemy go wynagrodzić i damy mu...



— Ile?

— Jeszcze tysiąc rubli.

— Co?!

— Nie odrazu, zaczniemy od dwóchset; on jest twardy, będzie się targował, w końcu może przystanie. O siedem mil ztąd znajduje się do wydzierżawienia młyn, bardzo dobry młyn. Icek mówił mi już nieraz, że chciałby siedzieć spokojnie. Będę go namawiał. Dzierżawa tam bardzo niedroga, a dorobić się można. Jeżeli on się na tamten młyn nie złapie, to wątpię, żeby się na cokolwiek złapał.

— Ale co z tego?

— Jakto co?

— Dajmy na to, że się złapie, weźmie tysiąc rubli, weźmie młyn. Czy wam się zdaje, że będzie już cicho siedział?

— Ja tak myślę...

— A ja nie. Dlaczego ma cicho siedzieć, kiedy każdej chwili może przyjechać do was albo do mnie i straszyć tem samem, czem nas dziś straszy. Kto mu zabroni? Będzie potrzebował pieniędzy, przyjdzie do was i wy mu dacie; przyjdzie do mnie i ja będę musiał mu dać. A choćby nawet i nie potrzebował, to także zechce brać. Pieniędzy nikt nie ma za dużo; a kto ma dobrą krowę, nie będzie taki

głupi, żeby się wyrzekł jej dojenia. Nie, tym sposobem my nie damy sobie z nim rady.

— Więc cóżbyś ty myślał, Symcha?

— Albo ja wiem; mam także różne kombinacye. Cały kłopot w tem, że to wasz rodzony brat: żeby nie to, ja nie pytałbym was, co z nim zrobić... już byłoby zrobione dotychczas...

— Nie, tak nie można.

— Ja wiem, ale i płacić ciągle też nie można. Ja myślę tak: powiedzmy, że za granicą wymyślili bardzo dobry i nowy sposób fabrykacyi naszego towaru; niech on pojedzie ten sekret zbadać.

– To pojedzie.

— Pojechać łatwo, ale powrót możemy mu utrudnić. Ja mam na to bardzo dobre sposoby.

— Ja wiem; ale na co spieszyć. Poczekajmy jeszcze trochę, może się co wyklaruje..

— Chcecie czekać, dopóki on znowu straszyć nie zacznie? Lepiej uprzedzić. Dlaczego on ma być pierwszy?... My będziemy pierwsi...

Ułożono, żeby jeszcze kilka tygodni czekać i zostawić wszystko tak, jak jest — czas bowiem jest to dobry wspólnik, on przynosi radę.

Czekali więc—ale w tym razie czas nie był taki dobry, jak zwykle—i zamiast uspokojenia i rady, przeciwnie, coraz większe niepokoje przynosił.



Znalazło się kilku ludzi tak zawziętych, że nie zważając na pogróżki, nie obawiając się „ciężkiej ręki", zaczęli śledzić, badać, pytać, dowiadywać się, a tak się jakoś zręcznie brali do rzeczy, że na dobre ślady trafiali. Jakoż kilku młodych żydków, bardzo obiecujących chłopczyków, do kozy niespodziewanie wzięto.

Zaledwie ta wieść do Gansfedera i do Bielicy doszła, tegoż samego dnia nadbiegł goniec bardzo przerażony, spienionego konia osadził tuż przy małym szynku przy rogatce i wpadł do mieszkania Gansfedera jak kula.

Gansfeder bystrem okiem poznał, że jest rzecz poważna, schwycił chłopaka za rękę i wciągnął go do drugiej stancyi.

— Cóż się stało?—zapytał.

— Nechemiasz...

— Złapany?

– Tak, przy samej granicy wzięli go i dwóch synów... trzeci uciekł.

— Kiedy to się stało?

— Wczorajszej nocy... Cztery konie mieli z Osin, te hrabiowskie.

— I dali się? Nie mógł każdy w inną stronę uciekać?

— Była zdrada. Widać ktoś powiedział, kiedy

będą jechali, którędy... i wzięli ich jak swoich. Chcieli się bronić, ale widzieli, że nie poradzą, że duża siła na nich szła.

Imć pan Gansfeder, zwykle cichy dość człowiek, i spokojny, zaklął bardzo ciężkiem przekleństwem.

— Gdzież oni teraz są?—zapytał.

— Gdzież być mogą?—odparł zdziwiony zapytaniem tem żydek—są w więzieniu.

— Czemu nie próbowali uciekać? głupcy!

— Oni Bogu dziękują, że jeszcze przy życiu są. Zbili ich na kwaśne jabłko. Chłopi nie żartują... a właśnie chłopi ich złapali; cała gromada ich była zaczajona w lesie.

— Ktoś zdradził.

— Wiadoma rzecz, że zdradził, na pewno zdradził... Teraz co my mamy robić?

— Jakto my?

— No, Berek, Abram, Mendel, Szmul, Jojna, Abuś, a! Co my mamy robić? Uciekać, chować się?...

— Dlaczego się macie chować? Nechemiasz nie zdradzi i żaden z jego synów nie zdradzi Za nich można ręczyć, jak za siebie samego; to są ludzie wypraktykowani, nie pierwszy raz mają taki ambaras.

— O nich też niema obawy; ale ten, kto zdradził Nechemiasza, kto pokazał drogę, którą mieli konie prowadzić, zdradzi z pewnością i nas wszystkich; dlatego pytam was, co robić.

— Co ja wam poradzę?! Róbcie, co chcecie!

— Tak?! To wy z naszej pracy umieliście zyski ciągnąć, umieliście się bogacić... a jak bieda i kiedy trzeba nam pomódz, to „róbcie sobie, co chcecie!“ Dobrze, my zrobimy, co chcemy, ale wam też będzie ciepło. My jesteśmy ludzie uczciwi, pracowaliśmy dla was rzetelnie, za marne pieniądze. a wy...

— Czekaj, czekaj, waryacie! Co ci radzić mogę, sam dobrze nie wiedząc co jest? Złapali Nechemiasza... cóż z tego? Trudna rada! posiedzi; ale to jeszcze nie racya, żeby ciebie złapali, żeby wszystkich złapali! Trzeba się wywiedzieć, kto zdradził, co wygadał... wtenczas dopiero może jaka rada być.

— Dużo musiał wygadać, a wiedział więcej, niż trzeba. Między chłopami na wsiach wielka radość; oni głowy podnoszą, oni się teraz nie boją nic. Każdy będzie gadał przed sądem co wie i czego nie wie. Całkiem się popsuło, całkiem. Wasz zięć też pewny nie jest.

— Symcha?!

— A tak.

— Dlaczego nie ma być pewny?

— Parę dni temu jacyś Niemcy jeździli lasy oglądać.

— Ja wiem o tem. Przejeżdżali koło Bielicy. Cóż za dziwo, że las chcą kupić? Od tego są Niemcy. Nie wiem, po co zawracasz mi głowę podobnemi głupstwami i to w takiej chwili, gdy o poważnych rzeczach myśleć należy.

— Ja wiem, co mówię, to nie byli Niemcy.

— Więc któż?

— Albo ja wiem. Niemcy nie chodziliby nad jeziora oglądać krzaki, bo oni krzaków nie kupują, tylko budulcowe drzewo; nie przypatrywaliby się czółnom, nie objeżdżaliby jezior dokoła, nie oglądaliby smolarni.

— Słuchaj!—zawołał Gansfeder — czy nie byli przy węglach?!

— Tego nie wiem; może byli, może nie byli...

— Czy twój koń bardzo zmęczony? — zapytał żydka.

— Zmęczony; ale jak wypocznie, to pójdzie.

— Jedź zaraz do Bielicy, do Symchy, dasz mu karteczkę; konia zostawisz w Bielicy, a sam pojedziesz do smolarzy.

— Co mam u nich robić?

— Powiesz, że ja cię przysyłam. Będziesz niby u nich pracował przy rąbaniu szczap i paleniu smoły...



w gruncie rzeczy masz pilnować lasu; a gdybyś zobaczył co podejrzanego, dasz mi znać zaraz. W lesie możesz siedzieć spokojnie, nikt cię nie zaczepi, a w razie wypadku łatwo się ukryć.

Tegoż jeszcze dnia w różne strony rozesłał Imć pan Gansfeder sześciu czy siedmiu gońców. Kilku pojechało na biedkach, kilku pieszo, a liczni agenci i wspólnicy zostali ostrzeżeni, żeby się mieli na baczności.

Sam Gansfeder wyjechał dopiero w nocy, gdy całe miasteczko pogrążone już było w śnie głębokim. Ani w jednem oknie nie płonęło światło, ani jeden człowiek nie znajdował się na ulicy. Biedka Gansfedera toczyła się cicho po niebrukowanej ulicy i zniknęła w ciemnościach. Za miastem uderzył on konia kilkakrotnie biczem i przynaglił do biegu.

Myśli Gansfedera nie były wesołe; doznawał on uczucia przygnębienia i strachu; zarazem ogarniała go wściekłość na myśl, że znalazł się ktoś, co chciał zburzyć gmach tak pracowicie i tak porządnie zbudowany, podkopać organizacyę urządzoną jak zegarek, w której każde kółeczko funkcyonowało prawidłowo, każde miało swoje przeznaczenie i rolę ściśle określoną. I naraz znajduje się ktoś, co psuje cały mechanizm, wyrywa najpotrzebniejsze kółka, tamuje regularny bieg maszyny i szuka ukrytych głę-

boko sprężyn. Najspokojniejszego człowieka wściekłość może ogarnąć na widok podobnej nikczemności. Interes ryzykowny, do którego urządzenia i uorganizowania potrzeba było sprytu, przebiegłości, odwagi —pada za jednym zamachem, jak wątły domek z kart, wówczas kiedy się najwspanialej rozwinął i zaczął przynosić najpiękniejsze zyski.

Kto się przyczynił do tego? Gdzie on jest i gdzie go szukać, aby z nim uczynić obrachunek?

Strach Gansfedera był podwójny: z jednej strony trwożyło go ujęcie Nechemiasza i pogłoski, jakie się po okolicy rozeszły—z drugiej przerażała go wiadomość o owych Niemcach, szukających czegoś po lesie. Czyżby i drugi interes, taki niezawodny, taki pewny. taki czysty jak złoto, miał być również zagrożony? Tego już było za wiele.

W najsmutniejszych myślach dojechał Imć pan Gansfeder do Trzmiela. Była już druga po północy. Koń zmęczył się—należało mu dać wytchnienie. Zajechał przed domostwo Dawida Kaltkugla. Długo musiał stukać, zanim mu otworzono; gdy wszedł do izby, Imć pan Dawid przywitał go nie bardzo uprzejmie i wprost zadał mu pytanie: czego żąda?

— Czego żądam? Jestem w podróży, noc, chcę konia popaść i spocząć pod dachem do rana.



— Czy nie macie karczmy? My w nocy lubimy spać, a nie zabawiać się z gośćmi.

Zrozumiał Imć pan Gansfeder, że i tu już coś wiedzą, skoro taki Dawid, taki marny handlarz wiejski, nie przyjmuje go grzecznie, chociaż powinienby to uczynić z wielu względów. Gansfeder udał, że nie bierze przymówki do serca i odrzekł:

— Przypuszczam, że mieliście bardzo przyjemny sen, Dawidzie, i że ja go przerwałem; nie miejcie do mnie za to złości; ja udaję się w dalszą drogę, a jeżelim was prosił o gościnność, to zdawało mi się, że jako ojciec waszej synowej i dziadek waszych wnuczków, mam do tego prawo. Trafiłem na wasz zły humor... bardzo żałuję. Na drugi raz będę się starał, żeby moja droga nie wypadała koło waszego domu.

Na to Imć pan Dawid, który już był się nieco z zaspania rozcmychał, odrzekł:

— Nie chciałem wam ubliżyć... ale ja lubię spokój; w każdym innym czasie chętnie widziałbym was w swoim domu, ale teraz...

— Cóż teraz? co się tak nagle zmieniło?

— Wiecie dobrze i nie mam potrzeby opowiadać wam, na czem zmiana polega. Ja mówiłem, że wy jesteście wielki ryzykant, ja.was ostrzegałem, że może być źle. Nie chcieliście słuchać... wasza rzecz: i jeżeli ja teraz się boję, to nie o was, ale o mego sy-

na... Co teraz będzie? powiedzcie mi, co teraz będzie?...

— Będzie dobrze.

— Daj Boże? Ale ja myślę, że będzie źle. Gdy jego wezmą, kto będzie się opiekował dziećmi, kto da jeść jego żonie?... chyba wasza żona, bo na was też niema co rachować. Was lada chwila złapią i całe wasze towarzystwo złapią. Chcieliście wielkiego majątku... macie teraz majątek!

— Wy się o mnie nie bójcie. Mnie złapać nie łatwo, a synowi waszemu także nic nie będzie. On jest mądrzejszy od was i potrafi sobie radzić, jego żona i dzieci nie przyjdą do was po kawałek chleba, bo wiedzą, że wy jesteście kapcan, który ledwie tyle od bab wiejskich wycygani, żeby mieć dla siebie co w garnek wsypać.

Od słowa do słowa — przyszło do grubszego przemówienia i do kłótni. Imć pan Kaltkugel dowodził, że, chociaż majątku nie zrobił, jednak zachował honor i uczciwość. Gansfeder zaś śmiał się z tej uczciwości.

— My obadwaj—mówił — jesteśmy jednakowo uczciwi, różnica tylko w ilości; wy wymanicie podstępem jeden grosz, ja innym podstępem wydobę tę rubla. Każdy człowiek żyć pragnie i pracuje, jak może; jeden ryzykuje więcej, drugi mniej, stosownie do usposobienia.



Kłótnia wzmagała się coraz bardziej; wreszcie zniecierpliwiony Gansfeder, nie rzekłszy na pożegnanie dobrego słowa, wyszedł—a że koń już trochę wypoczął, więc usiadł na biedkę i pojechał dalej. Droga wypadała mu ciągle przez lasy; zatrzymywał się przed ustronnemi karczemkami, z szynkarzami rozmawiał, ale krótko, wiele czasu na to nie tracąc. Tam rzucił słówko, dwa—i wnet gońcy rozbiegali się po okolicy, niosąc polecenia różne i rozkazy. W jednej z takich karczemek pan Gansfeder zmienił konia, gdyż ten, którym jechał, ustał już zupełnie i posłuszeństwo wymówił.

Dziwna dosyć była droga, którą teść Symchy przebywał: nie miała ona prostego kierunku, lecz ciągnęła się wężykowato, zbaczała w prawo i w lewo, a ogólnie zdawała się zakreślać koło o bardzo długim promieniu. Taką samą zupełnie podróż odbywał współcześnie Symcha Boruch. Spotkali się w małem miasteczku, daleko od swych domostw, w odległości mil dziesięciu.

Znaleźli się w zajeździe bardzo porządnym, gdzie konie mogły mieć wszelką wygodę, a ludzie dach nad głową i najrozmaitsze trunki. Gospodarz powitał ich bardzo uprzejmie i zapytał, czy nie życzą

sobie mieć numer oddzielny? Tacy dwaj kupcy powinni mieć do dyspozycyi pokój do przyjmowania interesantów, do konferencyi i narad. Zwrócił też uwagę, że obadwaj wyglądają na bardzo znużonych i że bez wątpienia potrzebują odpoczynku.

Przyznali, że istotnie tak jest, i że mają chęć pokrzepić się na siłach i kilka godzin przespać, a Gansfeder dodał, że niema potrzeby mówić komukolwiek o ich bytności, gdyż zaraz zaczną się schodzić ludzie z rozmaitemi interesami i propozycyami. Po wypoczynku i owszem, niech kto chce przychodzi. Właściciel zajazdu, człowiek nie w ciemię bity i domyślny, zapewnił swych gości, że mogą spać spokojnie i że nikt im spoczynku nie zakłóci. Następnie zaprowadził ich do numeru i zapytał, czem chcieliby się posilić. Ponieważ dali do zrozumienia, że są bardzo zgłodzeni i że w drodze nie należy żałować sobie na dobre pożywienie, przyniósł im dwa kawałki pieczonej gęsi i kilka bułek, nie zapomniawszy o butelce mocnej szabasówki. Postawiwszy pożywienie na stole, oddalił się dyskretnie, nie chcąc przeszkadzać szanownym swoim gościom. Teść z zięciem gwałtownie zabrali się do jedzenia; dopiero nasyciwszy się dowoli, zaczęli o interesach rozmawiać.

Rozmowa ta trwała z pół godziny, poczem teść położył się na starej, połamanej kanapie, zięć na sofie, i zaraz snem mocnym usnęli. Po przebytej drodze, dość uciążliwej i męczącej, spali długo i przebudzili się dopiero po zachodzie słońca, kiedy już mroki wieczorne świat zaczęły obejmować. Nie wyszli jednak z izby po przebudzeniu się, ale do rozmowy poprzedniej powrócili. A mieli do mówienia dużo, zwłaszcza Gansfeder, a Symcha więcej słuchał i niektóre szczegóły na karteczce notował, snadź aby mu nie wyszły z pamięci.



Gospodarz zajazdu ucieszył się bardzo, gdy mu tak szanowni goście oświadczyli, że przynajmniej dwa dni u niego zabawią. Zapytał też, czy nie mógłby służyć informacyami co do okolicy, ludzi, co do stopnia zamożności obywateli.

— Mam — rzekł — do nastręczenia bardzo korzystne kupno, dzierżawę...

— Nie — odrzekł Gansfeder, — my tak daleko od domu nie robimy interesów...

— W takim razie mogę wam dać tanio towar zagraniczny, łokciowy, aksamit, jedwabie, koronki. Na zamówienie mogą być złote zegarki, biżuterya, co tylko potrzeba. U nas — rzekł — miasteczko biedne, ale wszystko w niem jest... i niema chyba takiej rzeczy, którejby tu nie dostał. Jeżeli chwilowo braknie, to za parę dni można sprowadzić. Dość jest powiedzieć jedno słowo mnie; można też dać zadatek z ca-

łem zaufaniem. Nie było jeszcze zdarzenia, żeby się kto oszukał na tutejszej rzetelności; chociażbyśmy stracili, na słowie stawiamy się najpunktualniej.

— Ja słyszałem nieraz — rzekł Gansfeder, — że to jest bardzo poczciwe miasteczko, ale, jak w tej chwili, nie są mi potrzebne ani łokciowe towary, ani kosztowne rzeczy...

— W takim razie... przepraszam za pytanie... po co tu przyjechaliście, bo chyba nie dlatego umyślnie, żeby oglądać mój zajazd?

— Bardzo słusznie mówicie, tak iest. Ja mam chęć pojechać trochę dalej i dlatego przybyłem tu, abyście mi tę podróż ułatwili. Zdaje mi się, że nie będę dalekim od prawdy, jeżeli powiem, że to jest wasza specyalność.

Właściciel zajazdu uśmiechnął się i pogładził brodę.

— Prawda...—rzekł.

— Czy możecie mi zrobić tę przysługę?

— Z największą chęcią, choćby dzisiejszej nocy; dzień to nie jest dobry do takich podróży. Czy chcecie jechać obadwaj, czy tylko jeden z was ma ten zamiar?

— Ja pojadę—rzekł Gansfeder,—zięć mój powróci do domu.

— To wasz zięć?...



— Dziękować Bogu, tak jest.

— Śliczny zięć, na moje sumienie, osoba, znaczny kupiec... bardzo śliczny zięć. Wam zapewne pilno jest udać się w tę podróż?

— Dość pilno.

— Przepraszam, jeszcze jedno słowo. Czy macie zamiar powracać, czy też chcecie pozostać na czas dłuższy?

— Nie rozumiem dobrze waszego zapytania i nie wiem, co wam zależy na tem, żeby znać moje zamiary.

— Oj, moi kochani, u nas tu jest tak jakby trakt. Przyjeżdżają różne gatunki pasażerów... na krócej, na dłużej, na zawsze. Są tacy, których tam coś ciągnie; są inni, których ztąd coś wypycha. My to musimy wiedzieć dlatego, żeby brać sprawiedliwe ceny. Komu bardzo pilno, płaci drożej.

— Mnie nie pilno.

— W takim razie jedźcie jutro.

— Wolę dziś... i powiem wam szczerze, że nie lubię słów na próżno tracić i długo się targować. Dziś jadę, a za tydzień lub dwa powrócę i znów zechcę pojechać. Nie na raz sztuka, możecie ode mnie kilkakrotnie zarobić, a jeżeliby, na wypadek jaki, mój zięć chciał mnie odwiedzić, to też nie pójdzie do kogo innego, tylko do was. My mamy taki

zwyczaj, że lubimy tylko ze znajomymi handlowac i mięć stosunki, a wy, jako nie dzisiejszy czlowiek, rozumiecie to zapewne, że lepszy jest jeden interesant stały i pewny, niż trzech przypadkowych. Róbcie zgodę w dwóch słowach i po wszystkiem.

Jakož nie we dwóch słowach wprawdzie, ale w ciągu godziny zgoda stanęła i postanowiono, że o godzinie jedenastej w nocy pan Gansfeder pojedzie.

Symcha miał jeszcze pozostać do rana, aby sprzedać konia i biedkę swego teścia, ale uprzejmy gospodarz i to ułatwił, gdyż sam oświadczył chęć kupna i w krótkich abcugach targu dobił.

O jedenastej przyszli do zajazdu dwaj ludzie, nie bardzo przyjemni na wejrzenie: jeden—żyd, w kapocie z zawiniętemi połami, z kijem sękatym w ręku; drugi—nie wiadomo co za jeden, chłop czy mieszczanin, w krótkim spencerku, w czapce nasuniętej na oczy. Tych ludzi przedstawił gospodarz Gansfederowi jako przewodników i towarzyszy podróży, i zarazem dodał, że są obadwaj bardzo pewni, honorowi, rzetelni i, że, kto w ich ręce się odda, może być pewny, że mu włos z głowy nie spadnie.

Pożegnawszy się z zięciem i wymieniwszy z nim jeszcze kilka słów na boku, Imć pan Gansfeder, w towarzystwie owych drabów, puścił się w drogę pieszo. Noc była strasznie ciemna, na dwa kroki człowiek



przed sobą nic nie widział. Zaraz za miasteczkiem zaczynał się las. Gansfeder nic nie widział; chociaż do nocnych podróży przyzwyczajony, potykał się na każdym kroku i kilkakrotnie o mało nie upadł. Przewodnicy szli krokiem równym, sporym, tak, że nadążyć im było trudno...

— Czekajcie—szepnął zadyszany Gansfeder,— zwolnijcie trochę

— Cicho!—mruknął drab—nie gadać, tylko iść.

Gansfeder miał wielką ochotę zawrócić i drapnąć do miasteczka, ale było już nie rychło, szedł więc dalej i dalej, prędzej i prędzej, ledwie mogąc oddychać ze zmęczenia, pot zalewał mu czoło, nogi się pod nim trzęsły—czuł, że jeszcze kilka wiorst takiego forsownego marszu, a padnie.

Naraz przewodnicy zatrzymali się i zaczęli coś szeptać między sobą.

Ten szept wydał się teściowi Symchy bardzo niemiłym i podejrzanym.

— Co wy mówicie?—ośmielił się zapytać.

— Radzimy, jak cię przeprowadzić, żebyś nie spotkał kogo znajomego—odrzekł drab, a takie spotkanie nie zawsze bywa przyjemne.

— To też ja się bardzo boję, ja się okropnie boję. Widzicie, moi kochani, ja jestem biedny człowiek, taki interes trafia mi się po raz pierwszy. Bardzo

żałuję, żem poszedł z wami; lepiej było siedzieć w domu spokojnie. Powiedzcie, moi kochani, czy jeszcze daleko?

— O, daleko—odrzekł ów chłop czy mieszczanin, — kawał drogi. Teraz spoczniemy chwilę, bo później trzeba będzie dobrze nogi zbierać, żeby zdążyć do bezpiecznego miejsca przed świtem.

Wszyscy trzej usiedli na ziemi; Gansfeder chciał fajkę zapalić, lecz zaledwie błysnął zapałką, chłop pochwycił go gwałtownie za rękę.

— Zwaryowałeś, głupcze!—szepnął.—Fajki mu się zachciewa! Widzisz go, jaki pan!

— Mój człowieku — rzekł Gansfeder, — ja nie wiedziałem... ale moglibyście mówić trochę grzeczniej i nie chwytać mnie tak mocno za rękę, bo to boli.

— Delikatny!

— Jakbyście wiedzieli; nie jestem przyzwyczajony do takich konfidencyi...

Chłop nie zwracał uwagi na te słowa; wydobył z torby kawał chleba i zaczął jeść. Trzeci towarzysz uparcie milczał i wcale na pytania nie odpowiadał, tak, że Gansfeder nie wiedział, co ma o nim myśleć.

— Słuchajcie-no — rzekł do chłopa, — czy ten żydek, który z wami idzie, jest głuchy?

— Nie.



— No, to dlaczego nic nie mówi i nie chce odpowiadać, gdy ja do niego mówię?

— Albo ja wiem, może go zęby bolą...

— Oj, nieprzyjemna jest taka podróż w nocy.

— Niby to wam pierwszy raz... .

— Tak, na piechotę pierwszy raz. Ja jestem przyzwyczajony do nocnych podróży; ja nawet wolę jeździć nocną porą, aniżeli w dzień... ale jeździć drogą, na bryce, czy na saniach. Można trochę myśleć, trochę drzemać i człowiek przynajmniej się nie męczy; ale takie włóczenie po nocy piechotą, w ciemnościach, to jest bardzo niedobra rzecz.

— Jak komu — odrzekł chłop; — jeden do tego zwyczajny, drugi do czego innego... każdy podług swego sposobu ..

Gansfeder znowu próbował z milczącym żydem zagadać; pociągnął go za rękaw.

— Dajcie pokój, panie Gansfeder — odrzekł tamten niechętnie.

Usłyszawszy swoje nazwisko, teść Symchy zerwał się na równe nogi.

— Skąd wy znacie to nazwisko? kto wam powiedział, że ja się tak nazywam?! Wam się chyba przyśniło! Moje nazwisko Weinstein; o żadnym Gansfederze nie słyszałem, jak żyję!

Chłop się wdał w rozmowę.

— Nie macie się z czem ukrywać — rzekł: — znamy was dobrze i wiemy, coście za ptaszek. Mało to ja waszych koni tędy nocami przeprowadziłem, a i ten żydek także. Teraz was przeprowadzam.

— Jakie konie? co wy mówicie, człowieku? Ja nigdy końmi nie handlowałem, mam inne zatrudnienie.

— Tak? no, no, niema się czego bać, swoi jesteśmy, nie zdradzimy; a ten żydek, co nic nie mówi, jest Nechemiasza krewny. Starego nieboraka złapali i jego dwóch synalków także; z trzecim, jeżeli przejdziemy pomyślnie, będziecie się mogli jutro zobaczyć... to wam opowie, jak to było.

— Jeżeli przejdziemy pomyślnie? Dlaczego mówicie: jeżeli przejdziemy pomyślnie?

— Bo czasem można przejść niepomyślnie.

Na te słowa Gansfedera zdjął wielki strach, — zaczął tedy prosić chłopa, żeby dołożył wszelkich starań i przeprowadził bez wypadku. Przyrzekł, że będzie umiał poznać się na rzeczy, i że go wynagrodzi bardzo hojnie, po pańsku...

Chłop mruknął coś niewyraźnie i dał znak, że czas już w drogę; wstali więc wszyscy trzej i poszli. Ciężka była droga, Gansfeder potykał się ciągle na nierównym gruncie, kilkakrotnie upadł, ale wnet zrywał się i biegł dalej, chłop bowiem naglił i ostrzegał, że pomyślność przeprawy tylko i jedynie już teraz od pośpiechu zależy. Przedzierali się przez gęste krzaki, przechodzili przez parowy i wzgórki, a ciągle lasem; w jednem miejscu trzeba się było przeprawić w bród przez strumień; nareszcie po dwóch godzinach forsownego marszu zaczęło się trochę rozjaśniać. Ciemności ustępowały powoli; już można było widzieć między drzewami cokolwiek; chłop ciągle szedł, za nim żyd milczący, Gansfeder kroczył na końcu.



Kiedy się jeszcze widniej zrobiło, zdawało się Gansfederowi, że milczący żyd obcy mu nie jest, — przypomniał sobie, że widział on już gdzieś takiego barczystego zucha, o ramionach szerokich i łapie niedźwiedziej.

Syn Nechemiasza!

— Mosiek!—zawołał Gansfeder.

Żyd obejrzał się.

— Co chcecie?—zapytał.

— Ja ciebie nie poznałem.

— Naumyślnie chowałem twarz i podwiązałem się chustką, żeby mnie trudno było poznać.

— Dlaczegóż mi nie powiedziałeś od razu, że to ty jesteś.

— Po co?

— Byłoby mi weselej i nie najadłbym się tyle strachu przez tę przeklętą noc; bylibyśmy pogadali o interesach.

— Na gadanie będzie dość czasu po tamtej stronie.

— Słuchaj, ty byłeś razem z ojcem i braćmi... jak się to stało, że ich wzięli?

— Stało się...

— A jak? przez co?

— Wiecie sami dobrze, że była zdrada; a skoro była zdrada, to co dziwnego, że ich wzięli?

— Jakim sposobem ty uciekłeś?

— Jechałem na samym końcu. Gdy się zrobił hałas i zmiarkowałem, że jest źle, zatrzymałem konia, zeskoczyłem z niego i puściłem wolno... Wolałem uciekać pieszo i uciekłem. Dowiadywałem się o swoich... siedzą; a jeżeli nie umkną z pod klucza, to chyba nie prędko powrócą do Bielicy, do tej porządnej kuźni, którą wybudowaliście dla nas. Cały interes nasz przepadł; niema po co wracać... i wy też nie macie zapewne chęci pokazywać się w domu.

— Ja nic nie wiem, jeszcze nie wiem; trzeba im trochę zejść z oczu i czekać, co będzie dalej.

— Będzie źle...

— Tak nie można mówić; może być źle, a może być dobrze; czekanie jest w tym interesie najlepsze.



Za jakiś czas będę miał wiadomość od Symchy, on mi doniesie, co się dzieje.

W godzinę później Gansfeder znajdował się już w bezpiecznem miejscu, w małem żydowskiem miasteczku, dokąd go zaprowadził syn Nechemiasza. On tam był jakby w domu u siebie — znał każde domostwo, każdy kąt, każdego człowieka. Teść Symchy skorzystał z tego stosunku i prosił swego towarzysza, aby przedewszystkiem znalazł mu jaki kąt spokojny i zaciszny oraz jaką stancyę odosobnioną, z wygodnem łóżkiem, gdzieby można było po forsownej przeprawie wypocząć i kości zmęczone rozprostować.

Symcha Boruch, rozstawszy się z teściem, pośpieszał co prędzej do Bielicy; mógł on śmielej pokazywać się, aniżeli Gansfeder, gdyż zawsze tak się urządzał, że podejrzeń na niego nie było. Był on cichym wspólnikiem, pomagał teściowi swemu gorliwie, wszystko, co należało do niego, wykonywał pilnie, ale sam na uboczu się trzymał i nie lubił się narażać.

Jechał więc Symcha do Bielicy śmiało i z podniesioną głową, jak człowiek, który ma czyste sumienie i nie obawia się zarzutów; zatrzymywał się w miasteczkach, rozmawiał z ludźmi, wyrażał nawet zdziwienie, że banda mogła tak długo operować i że ją dopiero teraz wykryto.

Przybywszy do domu, przywitał się czule z żoną i dziećmi — i wziął się do zwykłych zatrudnień swego fachu, rozmawiał z chłopami, dowcipkował, śmiał się. Zaraz po przyjeździe posłał konno chłopca nad jezioro do Wulfa, z żądaniem, żeby natychmiast przyjechał.

Już się ludzie porozchodzili i noc zapadła, gdy rybak stawił się w Bielicy. Symcha wziął go do osobnej stancyi i tam mieli między sobą krótką rozmowę.

— Zabierzcie się ostro do rzeczy, żeby do jutra rana nasze piece do węgli były prawdziwemi piecami, żeby je można było rozrzucić zupełnie i nie znaleźć w nich nic prócz węgli

— Czy to koniecznie?—zapytał Wulf.

— Tak kazał Gansfeder, tak trzeba. Źli ludzie chcą nam szkodzić.

— Może to tylko próżny strach? może lepiej poczekać?

— Nawet jednej godziny czekać nie można, bo lada chwila spaść może na nas zmartwienie, wielkie zmartwienie.

— Taki dobry interes, taki złoty interes!

— I trzeba go rzucić w wodę. Cóż robić, kiedy nie można inaczej?

— W wodę? Alboż ja głupi? Ani myślę.



— Gansfeder wyraźnie tak zapowiedział, żeby najmniejszego śladu nie było. Weźcie się oba z Nutą do roboty. Icek z Kuternogą pomogą wam,..

— Ja nic nie utopię, ja wszystko schowam; to jest kosztowna rzecz, to miedź jest.

— Będą szukali.

— Niech szukają; kto znajdzie?... my mamy takie dobre schowania. . Dlaczego się zarzekać? Taka rzecz może się jeszcze przydać.

— Róbcie, co chcecie; ja wam powtarzam to, co mówił Gansfeder; on jest głowa..

— Złoty interes, doskonały interes, taki dobry interes... trzeba go zepsuć, właśnie kiedy najlepiej idzie.

— Co pomoże wasz lament i narzekanie? Nie bałamućcie, lepiej zajmijcie się robotą... na jutro rano żeby śladu nie było...

— Bądźcie spokojni... nie będzie.

Jęcząc i wzdychając ciężko na złe losy, udał się Wulf nad jezioro — i zwoławszy Nutę. Icka i Kuternogę, wziął się do rozbierania kopca. Icek także był bardzo zmartwiony, milczał jednak wobec siły wyższej.

Wulf lamentował najbardziej i przeklinał niewidzialnych i nieznanych wrogów, którzy się przyczynili lub może chcieli przyczynić do zepsucia takiej pięknej afery.

— Te łajdaki — mówił — na pewno rozpuścili plotkę, że my mamy sekretną gorzelnię. No, moi kochani — rzekł, zwracając się do kulawego chłopa, — powiedzcie wy sami, czy to jest nawet podobne do gorzelni?

— Ale ot...

— Gorzelnia to jest gmach, fabryka... a to co? Kilka kadek, głupi kociołek, kawałek alembiku!... Powiedzieć, że to gorzelnia, to trzeba być wielkim łajdakiem!

Icek westchnął.

— Prawda, prawda — rzekł. — Żebyśmy choć wielkie ilości wódki robili.

— Teraz taki czas — odezwał się Kuternoga: — ja onegdaj zabiłem koziołka, nadleśny się dowiedział i kryminałem mi wygraża.

— Nie można żyć, niema sposobu żyć... — rzekł Wulf, z czego się utrzymać? Ryb w jeziorze coraz mniej.

Utyskując i żaląc się, czterej ci ludzie rozebrali całą fabryczkę i częściami poroznosili przyrządy po różnych skrytkach. Część wywieźli łodzią na jezioro i ukryli w trzcinie, część na bagna przenieśli.

Nad ranem Kuternoga, wielki do wszystkiego mechanik i znawca, naściągał gałęzi, których obfity zapas był przygotowany, obsypał je ziemią i sporzą-



dził piec węglarski według wszelkich zasad i reguł, w tym procederze przyjętych; podłożył ogień, a sam, umorusany sadzami, zasiadł na pieńku i palił fajkę z obojętnością starego węglarza, który już na piecach, czy przy piecach takich, zęby zjadł i nic po za węglami nie widzi.

Przez szczeliny, umyślnie w kopcu zrobione, wydobywał się dym gryzący, biały i na wilgotnem powietrzu pochmurnego poranku wlókł się tuż ponad ziemią leniwie. Icek Gansfeder, ledwie dzień zaczął się robić, odjechał do miasteczka, — zaś Wulf i Nuta rybacy, zabrali się do połowu na większem jeziorze. Były w robocie łodzie i sieci, smolarze pomagali — i ktoby zajrzał do tego cichego ustronia leśnego, byłby zbudowany pracowitością jego mieszkańców. Tak się tam ludzie dorabiali, jak za dawnych, minionych czasów: jedni łowili ryby, drudzy węgle palili dla kowali, dalej trochę piec smołowy dogasał.

Na drugi dzień przyjechali jacyś panowie z młodym żydkiem, który rolę przewodnika odgrywał. Przyjechali i, ciekawi, jak też wewnątrz piec do wypalania węgli wygląda, kazali go rozrzucić, pomimo oporu Kuternogi, który na to zgodzić się nie chciał i dowodził, że taki piec stanowi cały jego majątek. Nie pomogły protesty — musiał dziad własne swoje dzieło zburzyć; jako też zburzył je ze szczętem, aż do

podstawy — odrzucił ziemię, porozrzucał wpół przepalone gałęzie, a dymu i swędu takiego narobił, że wytrzymać było trudno. Wulf i Nuta tymczasem przybili do lądu, sieć z niezbyt obfitym połowem wyciągnęli i wysiedli z łodzi, a widząc gromadkę obcych ludzi, przybliżyli się, aby zobaczyć, co się dzieje.

Ciekawość bardzo usprawiedliwiona i naturalna—w takim zakątku obcy człowiek jest bardzo rzadkiem zjawiskiem. Gdy zmiarkowali, o co chodzi, i gdy zobaczyli owego młodego żydka, który poszukiwaniami zdawał się kierować, Nuta i Wulf półgłosem rzucili jakieś przekleństwo i spojrzeli na owego młodzieńca wzrokiem, który zdawał się mówić:

— Poczekaj, policzymy się później!

Panowie, którzy kazali rozrzucić piec, zadali Wulfowi i Nucie kilka pytań.

— Jak dawno wypalaią tu węgle?

— Wielmożny panie—odrzekł Wulf, —moja pamięć tego nie sięga, a ja dzierżawię jezioro już więcej niż dwadzieścia lat. Mój sąsiad, Nuta, trzyma drugie jezioro jeszcze dawniej, a on też nie pamięta, kiedy tu zaczęli węgle wypalać.

— Oj, oj—rzekł Nuta,—głowa moja posiwiała, broda posiwiała, synów pożeniłem, córki powydawałem za mąż, a zawsze tu węgle wypalali i smolarnie tu były najsławniejsze na całą okolicę. Ha, ha! jakie tu znaczne smolarnie, jakie znaczne węglarnie były, ale teraz cena tego towaru spadła. Nastały różne smarowidla, smołę mało kto chce kupować. Tak samo i ryby: dawniej tu, w tych jeziorach, bywały takie szczupaki, jak, nie przymierzając, lewiatany; teraz ryby zdrobniały i są maleńkie, że niema na co patrzeć.



Nuta tyle nagadał tym panom o smole, rybach, węglach, cenie drzewa, o drożyźnie życia— że aż musieli go prosić, żeby przestał i przerwał ten zajmujący wykład; natomiast zapytali go, czy nie zauważył czego szczególnego przy wypalaniu węgli.

— Aj, aj, ciągle widziałem takie rzeczy, które mnie rzeczywiście dziwiły.

— Cóż takiego?

— Kowale bardzo się targowali; chcieli płacić takie marne ceny, że nawet koszt się nie zwracał.

— A co tu robil niejaki Icek Gansfeder? czyście go znali?

— Jak zły grosz. . to był wielki łajdak, chociaż starozakonny.

— Czem on się tu zajmował?

— Węgle palił, ale robił to bardzo źle, więc został oddalony; na jego miejscu jest ten oto człowiek.

— I nie zauważyliście nigdy nic szczególnego przy tych węglach?

— Nic... węgle wcale nie osobliwość, gdzie są takie lasy, jak tu; węgle, smoła... to cała fabrykacya tutejsza.

— A gdzież jest teraz Icek Gansfeder?

— Kto może wiedzieć, gdzie ten łajdak jest? Nie mówił wcale, dokąd wyjeżdża.

— Ale jak wam się zdaje?

— On jest w karczmie w Bielicy—szepnął młody żydek, którego Wulf świdrował ciągle bardzo nieprzyjemnem wejrzeniem.

— Dalekoż to?

— Nie bardzo - odpowiedział Nuta,—mila drogi lasem. Tak, on zapewne musi być w Bielicy; wspominał, że tam właśnie dąży.

Wulf nagle przypomniał sobie, że rzeczywiście tak jest, i zeznanie Nuty potwierdził — wiedział bowiem doskonale, że Icek Gansfeder odjechał w kierunku wprost przeciwnym, aby podążyć za swoim bratem i, dopóki cała historya nie ucichnie, ukryć się w bezpiecznem miejscu.

Młody żydek za wygraną nie dawał jeszcze; oprowadzał owych panów po lesie, do pieców węglowych, do smolnych dołów ich wiódł, nawet na niemiły wypadek się naraził, gdyż jeden smolarz potrącił go przypadkiem i młodzieniec wpadł po pas w smołę. W rezultacie poszukiwania nie doprowadziły do nicze



go i panowie odjechali, poleciwszy stangretowi, aby przez Bielicę powracał.

Symcha bardzo uniżenie przyjął takich nadzwyczajnych gości i mówił, że karczma jego, od czasu jak pobudowana, nie miała jeszcze honoru przyjmowania w swych ścianach takich osób.

Własnoręcznie ścierał Symcha kurz ze stołków, prosząc godne osoby, aby raczyły usiąść i odpocząć pod ubogą strzechą, gdzie gospodarz cały jest oddany na usługi swych gości.

Wprawdzie rzadko bardzo się trafia mieć do czynienia z osobami szlachetnemi i delikatnemi, gdyż prawie sami tylko chłopi odwiedzają ten zakład, ale jednak niekiedy, przypadkiem, zdarza się, że zabłądzą tu ludzie lepszego towarzystwa. Dla takich gospodarz co ma najlepszego wystawia, ażeby podtrzymać honor firmy.

Goście, nie bardzo tą przemową wzruszeni, przystąpili wprost do rzeczy: zażądali odpowiedzi na pytanie, zkąd Symcha sprowadza wódkę do swojej oberży. Zapytanie to dotknęło go w sposób przykry - tak dalece, że się obraził.

— Jakto zkąd?... pewnie, że nie ze składu towarów łokciowych lub galanteryjnych, lecz ze składu wódki.

— Czy mógłbyś pan poprzeć to jakimi dowodami.

Symcha nic nie odrzekł,—otworzył szufladę stolika, i wyjąwszy ztamtąd paczkę szarych kwitków, złożył je pytającym. Przejrzeli je uważnie i zrobili przytem uwagę, że bardzo mała sprzedaż jest w tym zakładzie.

— Jaka sprzedaż — odrzekł, — takie zyski; oby moje wrogi to wychorowali... Karczemka na uboczu, na wydmie pustej, do wsi daleko. Kto przyjdzie pić?

Panowie przejrzeli bacznie kartki i oddali je właścicielowi.

— Dokąd prowadzi ta dróżka?—zapytał jeden.

— Jaka dróżka?

— Ta na prawo.

— Do lasu prowadzi, do jezior.

— Czy ruch na niej duży bywa?

— Jak czasem... Chłopi jeżdżą tędy po drzewo, smolarze smołę wożą, czasem rybacy przejeżdżają z towarem...

— A więcej nikt?

— Nikt, rzadko kiedy, ot, jak na przykład dziś, panowie...

— W takim razie chciejcie mi powiedzieć, po co właściwie jest tu karczma?

Symcha zrobił bardzo kwaśną minę.

— Ja sam nie wiem; po to chyba, żeby biedni szynkarze tu ginęli, żeby tracili ostatni grosz...



— Czy nie przechodził tędy lub nie przejeżdżał niejaki Icek Gansfeder?... znacie go zapewne?

— Owszem, cokolwiek go znam.. on węglarz jest. Nie widziałem go już bardzo dawno.

— Mówiono nam, że tu, do Bielicy się udał.

— To panom ktoś powiedział wielką nieprawdę; on wcale nie pokazywał się w tych stronach. Ale, za przeproszeniem, zkąd panowie jadą?

— Z lasu, od jezior.

— No, to właśnie on tam siedzi, tam jego pomieszkanie jest.

— Już nie jest; podobno go ztamtąd oddalono..

— Nie wiedziałem... Ja zawsze jemu mówiłem: „Icku, ty szanuj się, pilnuj swoich węgli, nie bałamuć, nie próżnuj, bo cię wypędzą i będzie na ciebie wielki wstyd i wielka bieda...“ Nie chciał słuchać, teraz ma... Gołym zawsze będzie; gałgan, choćby jego ozłocić, pozostanie jednakowy.

Jeszcze kilka pytań zadali panowie, a na wszystkie Symcha odpowiadał prostodusznie i szczerze, nie dziwiąc się bynajmniej, że go badają.

— Tu, proszę panów, takie szczególne miejsce jest, że jak się w okolicy jaka zła rzecz stanie, to zawsze ja jestem pytany: czy kto nie przejeżdżał, czy czego nie wziął, czy nie byli jacy obcy ludzie? Bar-

dzo często mam takie zapytanie... i nie potrzebuję się chwalić, ale powiem, że nieraz zdarzyło mi się przyczynić do złapania jakiego łajdaka. Szczególniej dawniej, bo teraz zlodzieje ten las omijają i wcale nie słychać, żeby tędy chodzili. Jabym wiedział, prawie zawsze siedzę w domu i prawie zawsze przy oknie, a sen mam bardzo lekki. W nocy, aby się tylko kto ruszył, ja się zaraz budzę. Dawniej bardzo często byłem budzony, teraz, chwała Bogu, spokój jest... złodzieje się przepłoszyli...

Narzekając wciąż na swoje losy i złe czasy, Symcha odprowadził gości swych do bryczki i kłaniał im się ciągle, dopóki nie znikli mu z oczów.

W dwie godziny po ich odjeździe nadszedł rybak Wulf i opowiedział, co się działo w lesie.

— Na szczęście, nic nie znaleźli... wszystko było schowane, uprzątnięte, a my zajęci swoją robotą.

— Jak wam się zdaje, czy na tem już będzie koniec?

— Ja myślę, że nie: będą robili śledztwo, będą pytali ludzi.

— Nikt przeciw nam świadczyć nie będzie, a naprawdę to nas tylko kilku wie, co rzeczywiście było. Swój nie zdradzi, a obcy może powiedzieć, że coś słyszał. To przecież nie jest dowód, słyszeć można plotki.



— W każdym razie to jest nieprzyjemna rzecz, a najbardziej szkoda interesu. My bardzo jesteśmy skrzywdzeni.

— Niech nasze wrogi wychorują...

— Myśmy powinni wymyślić jaki nowy geszefcik, żeby powetować to, co nam brakuje. Pamiętajcie o tem, Symcha, że ja zawsze gotów jestem być waszym wspólnikiem i w razie potrzeby będę ryzykował... dużo gotów jestem zaryzykować. Obmyślcie no tylko co dobrego.

— Nie teraz, nie teraz.

— Dlaczego?

— Czas niedobry; myślmy lepiej nad tem, żeby nas nie wplątali w co brzydkiego, żeby mój teść mógł spokojnie powrócić. Duża robota nas czeka. Wy musicie ruszyć się trochę, pojechać w okolicę, przepytać się, dowiedzieć, co się dzieje z naszymi, kto siedzi w domu, kto gdzieindziej. Ja pozostanę na miejscu, muszę tu siedzieć; tak mi doradził Gansfeder, a ja zawsze jego rady słucham, bo on radzi dobrze. Wszystko trzeba wybadać, bo i jemu też się należą wiadomości. On tam siedzi sam, bez interesów, jemu się przykrzy.

— Trudno mi w to uwierzyć, żeby on bez geszeftu wytrzymał; jeżeli wziął ze sobą choćby odrobinę pieniędzy, to je niezawodnie puścił w ruch.

— Ma się rozumieć, że bez grosza nie wyjechał; wziął z sobą nawet sporo pieniędzy.

— No — rzekł Wulf, — to już jestem spokojny: przykrzyć mu się nie będzie. Albo on sobie nie znajdzie dobrego zatrudnienia? Świat jest świat, ludzie znowu potrzebują kredytować, handlować; a gdzie tylko są żydki, tam zaraz znajdzie się spółka, kombinacya, geszeft. Bądźcie spokojni, Symcha; ja trzymam zakład, że wasz teść już zawiązał tam nie jeden interes.

— Między obcymi ludźmi, tak odrazu, to cokolwiek za trudno; przecie musi się najpierw rozejrzeć dobrze, wybadać.

— On ma dobre oko; na co inny potrzebowałby tygodni i miesięcy, on odrazu zmiarkuje i od razu dobrze, na pewno. Nie bójcie się o niego, on nie zginie. To taki kot, którego można z dachu zrzucić i upadnie na łapy, krzywda mu się nie stanie.

— Ja się jednak o niego boję.

— Czego?

— Ludzie teraz shardzieli, czują, że ciężka ręka nie wisi nad nimi, że się w naszych interesach zrobiło duże zepsucie.

— Więc co?

— Nie boją się; będą mówili co wiedzą i czego nie wiedzą, co prawda i co nieprawda. Z cala zrobią



sążeń, z kwaterki całą beczkę! Do niego niejeden ma złość, będzie plótł naumyślnie, co mu ślina do ust przyniesie.

— Pleść wszystko można, ale trzeba dać dowód.

— Macie racyę; jeżeli jeden człowiek plecie, trzeba dać dowód; ale jak cała gromada jednakowo pleść będzie, to może być uważane za dowód. Jemu się wiodło, on miał nieprzyjaciół, on miał dużo takich, coby go chętnie w łyżce wody utopili.

— Przez zazdrość.

— To wszystko jedno; przez to, czy przez tamto, skutek taki sam. Nieraz odgrażali się na niego.

— Nie zważać!

— Dobrze wam mówić; ja nie będę zważał, wy nie będziecie zważali, ale to z sądem interes, a sąd na wszystko zważa.

— Dajmy na to; w najgorszym razie co mu może być?

— Nie wiem; dwa, trzy lata więzienia...

— Dla takiego głupstwa on sobie drogi powrotu nie zamknie. Jak będzie wiedział, że nie można inaczej, to odsiedzi swoje, a potem będzie takim samym kupcem, takim samym Gansfederem, jak był. Czy on pierwszy? czy ostatni? Niech mu się zdaje, że miał brzydki przypadek, że dwa lata w łóżku przeleżał, albo niech mu się zdaje, że był w wojsku. Skoro ma

pieniądze, kto go będzie śmiał zapytać, gdzie był? Co komu do tego? Był w podróży, jeździł za intere sami handlowemi, do wód; reparował swoje zdrowie. Skończyło się, powrócił, zdrowie odzyskał, teraz znów handluje, prowadzi interesa... Daję wam słowo, że dla głupich dwóch lat on tam nie zostanie.

— I ja tak myślę; ale jeżeli tych lat będzie więcej?

— To zostanie. Co mu będzie złego? Człowiek z głową i z pieniędzmi nie zginie.

— No, zobaczymy, tymczasem trzeba wiadomości zbierać i jemu dać znać; obiecałem, że mu przyślę opis o wszystkiem, więc jedźcie, Wulfie; a jeżeli w drodze będziecie mieli jakie nadzwyczajne koszta, nie oglądajcie się na to, ja wam wszystko powrócę, co do jednego grosza. Kiedy wyjedziecie?

— Myślę, że niema co bałamucić i odkładać; pojadę zaraz dziś.

— Bardzo dobrze zrobicie; im prędzej, tem lepiej... byle raz prawdę wiedzieć i módz miarkować, czego się spodziewać i czego trzymać.

Wulf obiecał, że jak najdokładniejszą przywiezie relacyę, i zarazem oświadczył, że ponieważ cały tydzień w drodze przepędzi, tak, że nawet szabas w obcym domu odprawi, przeto potrzeba mu na to to co najmniej dwanaście rubli.

Symcha bez żadnego targu żądaną sumę wyli



czył, — Wulf zaś, nie czekając, puścił się w drogę Nie śpieszył, prawie do każdej wioski wstępował— i zanim do pierwszego dojechał miasteczka, miał już na wozie troje cieląt, które też zaraz korzystnie spieniężył. W podróży taki handelek sprawia pewne urozmaicenie i zabija czas, który inaczej dłużyłby się w sposób przykry.

Wiadomości, jakie Wulf w podróży swej zbierał, nie były ani pomyślne, ani przyjemne; przeciwnie, wszędzie prawie panował smutek i zmartwienie. Najporządniejszych szynkarzy, solidnych kupców, pełnych energii faktorów, pobrano do kozy; niektórym z nich pozwolono być na wolności za kaucyą. Co to za życie za kaucyą? Wcale nie życie... lada chwila, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa, mogą zawołać porządnego obywatela, kazać mu opuścić żonę, dzieci, najpilniejsze interesa i iść—po co? Na rozmyślanie, na dopytywanie, na nieprzyjemności. W miasteczkach, pomimo tego, a raczej dlatego, panowało ożywienie. Każdy bowiem człowiek, któremu wypadnie mieć do czynienia z sądem, potrzebuje świadków, należy więc ich zawczasu zjednać i przygotować, aby umieli mówić—aby, jak jeden mąż, krzyczeli wielkim głosem, że przyjaciel ich jest niewinny i posądzany niesłusznie, aby powagą swoją stwierdzili, że w danej chwili on wcale nie znajdował się tam, gdzie się stało coś złego, ale o dziesięć mil od tego miejsca, i że za-

bawiał się w gronie krewnych i przyjaciół na uroczystości rodzinnej, jadł, pił, śpiewał i tańczył—za co żaden kodeks kryminalny nie karze... Nie dość, żeby świadek, a raczej świadkowie byli—trzeba, aby byli dobrze przygotowani do świadczenia, aby umieli odpowiadać na zapytania niespodziane, na pozór nie mające żadnego związku ze sprawą, aby nie dali się złapać. Chcąc w człowieku taki cenny przymiot wyrobić, należy go uczyć, ciągle uczyć, wbijać mu mocno w głowę wszystkie najdrobniejsze szczegóły i okoliczności. Na skutek tego każda prawie mała mieścina w okolicy stała się jakby akademią prawniczą. Doświadczeni, wypraktykowani mężowie uczyli młodych, jak mają mówić, tłómacząc im zarazem motywy, dlaczego mianowicie trzeba tak a nie inaczej zeznawać.

Dla młodych ludzi była to prawdziwa biesiada duchowa, to też chciwie przysłuchiwali się konferencyom, chciwie słuchali, jak doświadczeni mężowie cytowali z pamięci artykuły kodeksu karnego, a o procedurze mówili z taką znajomością rzeczy, jak gdyby ich tego tylko za młodu uczono. Konferencyom tym przysłuchiwał się bacznie i Wulf, bo chociaż mógł, i słusznie, uważać się za człowieka doświadczonego w różnych okolicznościach życia, jednak, słysząc rzeczy nowe, rad był, że zapas jego eksperyencyi wzbogaca się i powiększa.

Jest to dla umysłów wyższych rzecz niezmiernie przyjemna i słodka nowe wiadomości do skarbony swej wiedzy, zwłaszcza wiedzy praktycznej, dokładać — a że konferencye, o których mowa, odbywały się we wszystkich okolicznych miasteczkach, więc mógł Wulf, od jednego do drugiego wędrując, różne poglądy poznawać i co najcenniejsze wydobywać z nich perły. Tak też czynił; a kiedy powracał już do domu nad jezioro i wstąpił do Bielicy, to miał dla Symchy niezmiernie dużo ciekawych rzeczy do opowiedzenia.



Zszedłszy z biedki, Wulf do karczmy wszedł z miną człowieka, który coś bardzo ciekawego przynosi.

Symchy nie było w izbie; krzątała się tylko jego żona, widocznie cierpiąca, z podwiązaną twarzą i mocno zaczerwienionemi oczami.

Wulf pozdrowił ją bardzo grzecznie, właśnie jak należy pozdrawiać kobietę stateczną i żonę przyjaciela a zarazem wspólnika, — ta jednak nie odpowiedziała na pozdrowienie jak trzeba, tylko mruknęła coś niezrozumiale, jakby złe słowo lub przekleństwo.

— Co wy mówicie, Symchowa?

Niewiasta ruszyła gniewnie ramionami i rzekła, ale tym razem już bardzo dobitnie:

— Mówię, żeby was wszyscy dyabli porwali, żebyście zmarnowali się co do jednego, łajdaki!...

— Za co ja jestem przywitany tak niedelikatnie i co wam złego zrobiłem?

— Wszyscyście warci złego słowa... Żeby nie wasze łajdackie sztuki, ja miałabym męża... wyście go do zguby doprowadzili, wy! Przez was on przepadł, tak, że go już moje oko nie zobaczy...

Niewiasta wybuchnęła przytem wielkim płaczem; przekleństwa i jęki mieszały się ze łzami; tak, że nie można było zrozumieć, czego chce. Wulf, który był żonaty dwa razy, a obie jego kobiety były wielkie sekutnice i niezmiernie krzykliwe, postąpił jak człowiek doświadczony—wyszedł z izby i postanowił czekać, aż wezbrane potoki łez wyschną i gardło od krzyku się zmęczy.

Usiadł przed karczmą na kamieniu, zapalił fajkę i rozmyślał. Niedaleko bawił się w piasku pięcioletni Szmulek, jeden z młodszych synków Imć pana Symchy Borucha. Wulf do niego zwrócił się z zapytaniem:

— Szmulik—rzekł,—gdzie jest twój tate?

— Niema tate.

— Gdzie się podział?

— On pojechał...

— Dokąd pojechał?

— Ja nie wiem.

— Słuchaj-no! powiedz, czy on pojechał sam, czy z kim?

— Pojechał z... koniem.

— Jesteś jeszcze bardzo głupi; ja się pytam,



czy tate siedział na furze sam, czy i kto drug siedział?

— Siedziało parę gęsi.

— Gęsi?

— Alboż to raz ojciec wozi gęsi? Jak miał wyjeżdżać, to mama wołała na niego, żeby wziął gęsi, to tate wziął gęsi.

— A kiedy to było? wczoraj?

— Nie, to było takiego dnia, co się nazywa wczoraj od wczoraj.

— Czy tate pojechał swoim koniem, czy miał wynajętą furmankę?

— Pojechał swoim koniem.

— Ty, kochaneczku, trochę nieprawdę mówisz. Powiedziałeś, że tate pojechał swoim koniem, a ja tego konia widzę: chodzi po trawie.

— Bo koń już powrócił, to chodzi sobie po trawie.

— Sam?

— Nie; przyjechał jeden młody żydek.

— Znasz go?

— Nie, pierwszy raz tu był; przedtem nigdy go nie widziałem.

— I cóż on tu robił?

— Nie wiem; mówił coś do mamy, mama płakała; potem mama mu dała trochę pieniędzy, a on za raz poszedł. Koń się został, a on poszedł.

— Piechotą?

— Piechotą poszedł... Młody żydek, bardzo prędko poszedł.

Wulf zamyślił się; jeszcze chwilkę posiedział na kamieniu, dopalił fajkę, a następnie obciągnął na sobie kapotę i wszedł do stancyi.

Pani Symchowa już nie płakała, ale gniew jej jeszcze nie przeszedł.

Wulf usiadł na ławce przy dużym stole i przez kwadrans siedział w milczeniu, czem zmusił uprzejmą gospodynię do odezwania się.

— Czegóż wy tu siedzicie?—zapytała.

— Czekam, aż złość z was wyjdzie, ponieważ mam interes do was i chciałbym się porządnie i spokojnie rozmówić.

— Mówcie. Czy ja wam bronię?

— Ja mówić mogę i potrzebuję... tylko, czy wy umiecie słuchać i porządnie odpowiadać, bez przekleństwa i kobiecego krzyku? Ja mówić potrzebuję, bo to o waszego męża chodzi.

— Już go niema! już niema,—zaczęła lamentować Symchowa.

— Widzicie, już płaczecie! Chyba wasz mąż nie umarł?

— Jeszcze gorzej; żeby umarł, to wiedziałabym, że jestem wdowa, a tak... ani ja wdowa, ani mężatka, ani panna. Ja sama teraz nie wiem, co jestem i jaki



los mnie czeka. Gdzie wyście jego podzieli? coście z nim zrobili? gałgany! Oby wam ślepota padła na oczy.

— Powoli, bardzo was proszę; w wielkim gniewie i żalu mówicie dużo słów niepotrzebnych, a nie mówicie tego, co właśnie jest konieczne. Niech się dowiem, co się stało z waszym mężem!

— Niema go?

— Więc go zabrali?

— Czy ja wiem? Sam pojechał... Dostał karteczkę, żeby się stawił do sądu. Stawił się. Cóż nadzwyczajnego? Ileż razy trafiają się takie karteczki! Symcha też nie przypuszczał nic złego. Pojechał. Na odjezdnem mówił, że wróci w nocy; tymczasem minęła noc, nastał dzień, jego niema. Koło południa przyjechał jakiś młody żydek naszą biedką i naszym koniem, i przywiózł wiadomość, że Symchę prosto z sądu zaprowadzili do więzienia i że nie można się dowiedzieć, czy go wypuszczą i kiedy go wypuszczą. To macie całą prawdę; ja zawsze mówiłam, że te spekulacye źle się skończą.

— Wcale nie; wyście się cieszyli, że wam pieniądze płyną do rąk jak woda, .

— Co mi z pieniędzy... ja teraz nie mam męża, moje dzieci nie mają ojca!

— Powoli, powoli, jeszcze nie macie czego pła-

kać. Że go wzięli, to jeszcze nic nadzwyczajnego; wzięli, potrzymają i wypuszczą.

— A jeżeli nie wypuszczą?

— Nie lękajcie się; dyabeł nie jest tak czarny, jak go malują ludzie. Wasz mąż umiał wychodzić gładko z interesów; on tak prowadził rzecz, że nie pokazywał się tam, gdzie nie trzeba; swoich pleców nadstawiać nie chciał, zawsze wolał za cudzemi się schować; jemu naprawdę nie grozi nic wielkiego. Co najwyżej, posiedzi on, w najgorszym razie rok, albo dwa lata.

Pani Symchowa zalała się znowuż łzami.

— Łatwo wam powiedzieć: dwa lata! A co ja będę robiła? Co ja dam jeść moim dzieciom?

Wulf na to ramionami wzruszył.

— Obyście tylko większego kłopotu nie mieli— i obym ja nigdy większego zmartwienia nie znał! Czy wam brakuje pieniędzy?... Wam? Dajcie pokój takiemu gadaniu.

Długo zmartwiona małżonka w wyrazach pełnych goryczy, we łzach i łkaniach wylewała swój smutek. Wulf ją pocieszał, doradzał i obiecywał, że starań szczędzić nie będzie — i słowa nie dotrzymał. Nie dotrzymał zaś bynajmniej nie dlatego, żeby miał być niesłownym z natury, lecz miał niejaką przeszkodę.

Pewnego dnia doręczono mu, jego bratu Nacie



i obydwom smolarzom, szare karteczki, zapraszające do sędziego. Ma się rozumieć pojechali, ale ich nie puszczono z powrotem. Nastał jakiś nowy sędzia, który miał szczególniejsze zwyczaje. Był niezmiernie grzeczny dla każdego, nawet wcale nieznacznego i nieosobliwego handlarza, prosił siedzieć, rozmawiał z nim łagodnie i przyjemnie—nie jak sędzia, ale jak ktoś, co pragnie na pogawędce chwilę czasu przepędzić; pytał o różne rzeczy — o pogodę, ceny zboża, stan dróg, czasem o znajomości i stosunki, nigdy się nie gniewał, nie krzyczał – owszem, był nadzwyczaj w rozmowie uprzejmy.

Kiedy przed kilkoma dniami Symcha Boruch stawił się w jego kancelaryi, od pierwszego wejrzenia pewien był, że nic złego nie grozi.

Sędzia przyjął go niezmiernie uprzejmie, wskazał mu krzesło i przeprosił, że fatygował dla bagatelki. Szło o pewne zeznania, o wyjaśnienie niektórych drobnych okoliczności, które trzeba było wyświetlić.

Symcha bardzo się z takiego obrotu rzeczy ucieszył i był jak najpewniejszy, że za godzinkę będzie spacerował sobie po miasteczku, załatwi niektóre interesa, sprawunki i przed wieczorem pojedzie z powrotem do Bielicy. Nie przypuszczał ani na chwilę, żeby mogło stać się inaczej i żeby sędzia, człowiek

tak bardzo miły w obejściu, chciał mu zrobić przykrość.

Gawędzili sobie z początku o tem, gdzie się pan Symcha urodził, ile ma lat, czy jest żonaty, czy ma dzieci, czem się trudni, gdzie mieszka. Zwyczajnie, sędzia chciał się dowiedzieć, z kim ma do czynienia —i dowiedział się, że nie z żadnym łapserdakiem. ale z człowiekiem familijnym, solidnym, kupcem, handlującym różnemi towarami. Pytał też, czy pan Symcha posiada jaki majątek nieruchomy, naprzykład dobra ziemskie, kamienice; czy nie posiada kapitałów w bankach, albo sum lokowanych na hypotekach. Bardzo się Symcha śmiał, odpowiadając na te pytania.

— Dobra, kamienice, sumy hypoteczne?! Co też wielmożny pan sędzia mówi! Panu już wiadomo, że nazywam się Symcha Boruch Kaltkugel, że jestem starozakonny i że mieszkam w karczmie bielickiej... więc oczywiście nie mogę posiadać dóbr, ani kamienic, jak panowie hrabiowie lub bankierzy. Wiadomo panu także, że bank daje od kapitału zaledwie pięć procent rocznie, a dobra hypoteka z wielkim targiem: osiem. Ktoby się mógł z takiego interesu utrzymać?

— Słyszałem jednak, że pan masz swój własny dom w miasteczku.

— Oby moje wrogi mieli tak własne zmartwienie i zgryzotę. Moja ciotka, Ruchla, ma dom, a ja mam tylko ciotkę.



— Jednak dlaczego mówią, że pan jest właścicielem?

— Przez zazdrość. Oni wiedzą, że ciotka, jeżeli zechce, może mi ten dom zapisać.

— Może to symulacya?

— Nie, wielmożny panie sędzio, to jest prawdziwa ciotka, Ruchla Fajn, w całem mieście ją znają; ona dom ten kupiła, porządnie, za gotowiznę; jest o tem napisany u rejenta cały akt...

— Jest akt?

— Żebym ja tak zdrowie miał, jak jest. Ciotka nie lubi robić interesów inaczej, tylko przed rejentem; taką już naturę ma...

Sędzia już o domu więcej nie mówił, tylko rozpytywał Symchę o krewnych, znajomych i przyjaciół. Jak się miewa pan Michał Gansfeder, jak mu się powodzi, co porabia, gdzie jest? Czy to prawda, że udał się za granicę w celu poratowania zdrowia? Gdzie bawi obecnie pan Icek Gansfeder? Jak się powodzi rybakom nad jeziorem? Czy pan Nechemiasz i jego dwaj synowie pozostawali z Symchą w bliższych stosunkach? Czy Symcha nie wie, jakim sposobem spaliły się zabudowania chłopa Muchy z Trzmiela? Czy wypalanie węgli jest taki interes, co się dobrze opłacą? Czy przez Bielicę nocną porą

często przejeżdżali ludzie konno? Czy smolarze naprawdę wozili w beczkach smołę, czy też co innego? Czy pan Symcha nie ma jakich podejrzeń względem rybaków?

Pytania zadawane były jedne po drugich tak jakoś niespodziewanie i szybko, że Symcha, prowadzący z początku dyskurs z całą łatwością, zaczął się mieszać, robiło mu się gorąco, coraz goręcej, aż nareszcie doznał takiego wrażenia, jak gdyby siedział w łaźni, na najwyższej ławce, i bardzo mocno się pocił. .

Wydobył z kieszeni bardzo porządną chustkę, czerwoną w kraty, i zaczął nią pot z czoła ocierać. Sędzia zauważył to i z całą uprzejmością zapytał:

— Może pan Symcha czuje się zmęczonym?

— Oj, cokolwiek mi gorąco!

— Może pan zechce odpocząć?

— Owszem, bardzo chętnie; tu, w kancelaryi, jest cokolwiek duszno.

Sędzia zadzwonił i powiedział parę słów do sekretarza; tu dopiero Symcha Beruch przekonał się, że niema na świecie gorszych, jak tacy grzeczni ludzie. Dali mu odpocząć (oby sami nigdy nie zaznali odpoczynku!)—w areszcie.

Zamknęli go, samego jednego tylko, bez żadnego towarzystwa, w stancyi dość ciasnej, o małem, mocno okratowanem żelazem okienku; zamknęli na



taki zamek, któregoby nawet sam Nechemiasz z trzema synami swymi nie złamał; zamknęli i poszli sobie.

Ładny odpoczynek! ładna delikatność! ładna uprzejmość!

Jeszcze całe szczęście, że pozwolili, aby mu kupiono w mieście trochę koszernego jedzenia.

Na drugi dzień znów sędzia Symchę zaprosił, znowuż z nim rozmawiał i znowuż spytał, czy nie zechce wypocząć.

— Wielmożny panie sędzio — rzekł Symcha z płaczem prawie, — ja wolę być zmęczonym, nawet bardzo zmęczonym, aby już raz skończyć i iść do domu. Ja mam żonę, mam małe dzieci, ja potrzebuję być w domu. Niech mnie pan puści.

Sędzia powiedział, że bardzo mu to boleśnie i przykro, że rozumie położenie pana Symchy, ale to nie od niego zależy.

— Tylko od kogo?

— Od sprawy...

Wówczas Symcha, jak tonący brzytwy, uczepił się kaucyi. Obiecywał, że da kilkaset rubli, tysiąc, półtora...

— Dopiero mówiłeś pan, że jesteś biedak i nie posiadasz kapitałów.

— Ale moja familia złoży za mnie.

I to się na nic nie zdało. Sędzia znów prze-

praszał, lecz powiedział, że na żaden sposób nie może...

Na drugi dzień, na trzeci i czwarty jeszcze były pytania, a potem nikt już Symchy nie wołał, nikt nie przeszkadzał mu siedzieć i rozmyślać, rozmyślać choćby po całych dniach i nocach.

Taki sam los spotkał rybaków, wielce szanownego Wulfa i jego brata Nutę, taki sam los dotknął węglarzy i wielu innych bardzo godnych ludzi...

Po kilku miesiącach przyszedł taki dzień, że zaczęła się sprawa w sądzie; wówczas wszyscy dobrzy przyjaciele, krewni i znajomi zobaczyli się razem, w jednem miejscu; oczywiście chcieli z sobą rozmawiać, ale im nie pozwolono.

Symcha Boruch siedział z samego brzegu, przygnębiony, milczący, i przypatrywał się stojącemu obok niego żołnierzowi, który trzymał w ręku karabin. Bardzo to jest brzydka i nieprzyjemna maszyna, wymyślona na to, żeby nią uczciwych ludzi straszyć. Kawał rury żelaznej, w końcu szpikulec tak ostry, że nim można kogo skaleczyć.

Zaczęli czytać całą historyę. Najdziwniejsze rzeczy: że była cała banda złodziejów, jedni konie kradli, drudzy je przechowywali, inni jeszcze uprowadzali za granicę, że do tej bandy należeli bardzo porządni ludzie: kupcy, szynkarze, pachciarze; że



głównym mechanikiem tego towarzystwa był Michel Gansfeder; że banda rzucała na całą okolicę postrach; że kto chciał się poskarżyć i szukać sprawiedliwości, prawie zawsze doznawał jakiejś nadzwyczajnej klęski: kradziono mu konie, zabudowania jego nawiedzał pożar; że banda przyjmowała od tych, którzy płacić chcieli, opłatę roczną — i że po złożeniu takiej opłaty, interesant mógł być spokojny o to, że mu koni nie ukradną. Czytali dalej, że pewna część członków bandy, z tymże Michelem Gansfederem na czele, w lesie nad jeziorami utrzymywała potajemną gorzelnię, że handlowała wódką w sposób zakazany i że popełniała wiele innych czynów, za które grozi kryminał.

Po odczytaniu tej długiej historyi, zapytywano każdego po kolei, czy przyznaje się do winy. Każdy tylko ramionami wzruszył; Symcha zaś powiedział wyraźnie, że wszystko, co czytano, jest plotką oraz wymysłem złośliwych ludzi.

Wówczas po kolei zaczęto wprowadzać świadków. Było ich dwa gatunki: jedni ludzie przeważnie prości i nieokrzesani,—drudzy delikatni, wyćwiczeni w dysputach. Pierwsi pletli różne głupstwa, co im tylko na myśl przyszło, co wiedzieli i czego nie wiedzieli; drudzy mówili mało, ale dobrze. Symcha przysłuchiwał się temu bardzo uważnie i pilnie; śledził

bacznie, jak jedni świadkowie sprawę psuli, a drudzy ją naprawiali; liczył, których jest więcej, na czyją stronę waga się przychyla. Trwało to, z małą przerwą, do późnego wieczora.

W sali było pełno ludzi, najwięcej starozakonnych; niektórzy przyszli z ciekawości, więcej jednak było takich, którzy przybiegli, aby dowiedzieć się o losie swoich krewnych, znajomych i przyjaciół. Przed domem sądowym, na ulicy, tłoczyła się taka masa ludzi, że nie można było się przecisnąć. Każdy człowiek jest ciekawy—lubi wiedzieć, co trzeba i czego nie trzeba.

Późno w nocy odprowadzono Symchę napowrót do więzienia, aby sobie odpoczął i wyspał się; ale sen uciekał od jego powiek, ciągle trapiły go przykre widziadła...

Na drugi, trzeci i czwarty dzień było to samo—ciągle świadkowie, to źli, to dobrzy, to tacy, których zeznanie nic nie znaczyło.

Przed domem sądowym, na ulicy, toczyły się ożywione dysputy—na temat: jak się sprawa skończy, co kogo czeka, który świadek wywiązał się dobrze ze swej roli, który zaś fuszerował i nieumiejętnością swoją psuł cały interes.

Wśród tej gromady ludzi uwijała się pani Symchowa i Imć pan Dawid Kaltkugel. Jej chodziło o męża, jemu znów o syna. Tylko z rodziny Gansfederów nie było nikogo, gdyż teściowa Symchy wraz z dziećmi opuściła domek przy rogatkach i przeniosła się na stałe mieszkanie do Brodów.



Jest to bardzo porządne miasto, pełne ludzi uczonych, nabożnych i bardzo zdatnych do interesów.

Chodziły pogłoski, że tam Gansfeder prowadzi jakiś handelek—już nie jako Gansfeder, lecz jako Weinstein, czy Weinfeld. Pisał do kogoś ze znajomych, że mu się bardzo dobrze powodzi.

— Co myślicie o moim synu? — pytał Imć pan Dawid pewnego, bardzo biegłego w sprawach prawnych izraelity.

— Nie wiem—odpowiedział zagadniony;—może być z nim źle, może być gorzej...

— Nie puszczą go?

— Wątpię; dużo świadków przeciw niemu.

— Ja jemu zawsze mówiłem, że on w złe interesa się wdaje. Ja go ostrzegałem. Nie słuchał.

— A wiecie, Dawidzie, że wasz syn jest mądry i ostrożny człowiek. . Inny na jego miejscu byłby zupełnie zgubiony.

— Sami mówicie, że z nim może być źle.

— Źle... prawda, ale nie tak bardzo źle, jakby mogło być; nie bójcie się o niego.

— Jakto ja się nie mam bać?... jego wsadzą.

— Niewielka rzecz... Czas prędko idzie, parę lat przeleci... ani się człowiek nie obejrzy, kiedy.

Gdy już sąd załatwił się ze świadkami, zaczął mówić prokurator. Symcha zieleniał ze złości, słysząc tę mowę. Co tam było!.. Co w niej było!... Najporządniejszych ludzi nazywał wprost złodziejami, łotrami; prosił, żeby ich wsadzono na całe życie do kryminału. Szczęście, że adwokaci opowiadali zupełnie co innego. Dowodzili oni, że sprawa jest czysta jak szkło, a ludzie, przedstawieni w niej w tak niefortunnem świetle, są to obywatele godni, zacni, pracowici i ze wszech miar zasługujący na szacunek; że tylko złość ludzka i przewrotność wymyśliła potworną plotkę, która, rozdmuchana przez złe języki, przybrała rozmiary potworne. Stanęła przeciw tym ludziom warownia, uzbrojona całym arsenałem dowodów; z pozoru zdawało się, że niemasz na świecie większych łotrów, aniżeli ci, przeciwko którym arsenał ten się zwraca; ale, przy bliższem rozpatrzeniu się, owa warownia to papierowy zamek, domek z kart —dość dmuchnąć, żeby się przewrócił i obalił z kretesem. Gdzie są fundamenta, gdzie ściany, gdzie dach? Nic niema –złudny pozór tylko... Powiedziano, że mamy do czynienia z uorganizowaną bandą złodziei? Gdzie jest banda, gdzie jest organizacya, nareszcie gdzie są złodzieje? Czy nasi klienci? Ależ przypatrzmy się im bliżej. Dość spojrzeć na ich



fizyonomie, aby się przekonać, że to nieprawda. Słyszymy o rabusiach, niemal opryszkach—a kogóż widzimy przed sobą? Ludzi spokojnych, oddanych pracy, cierpliwych, wytrwałych, walczących z przeciwnościami, – mężów nieposzlakowanej wierności, ojców wypróbowanej cnoty, szanownych naczelników rodzin, którzy gotowi są do wszelkich poświęceń, aby dobrze wychować swe dziatki, dać im stosowne do swych pojęć wykształcenie, uczynić z nich obywateli godnych. Mówią, że to złodzieje,—ale przypatrzmy się im szczegółowo. Czy Symcha Boruch Kaltkugel podobny jest do złodzieja? Dość jest spojrzeć na tę twarz poważną i myślącą, na tę głowę o czole dużem, wypukłem, na spokój prawdziwego filozofa, malujący się na jego obliczu! Spójrzmy bezstronnie i beznamiętnie, bez uprzedzeń, na przeszłość tego człowieka. Od najmłodszych lat, zaledwie nauczył się mówić, oddany był do szkoły, gdzie odbywał studya poważne; zaledwie podrósł i młodzieniaszkiem został, nie zaznawszy swobody, właściwej wiekowi młodzieńczemu, ożenił się — i, już jako ojciec rodziny, oddał się całkowicie trosce o wyżywienie; dziś jest już mężem dojrzałym, ale jeszcze młodość i świeżość bije z jego oblicza. Inni ludzie w jego wieku dopiero się żenią, on już niezadługo dziadkiem zostanie. I kiedyż ten człowiek miał czas trudnić się złodziejstwem, podpalaniem, robieniem rozmaitych szachrajstw? Żył

uczciwie, pracował ciężko, trudnił się przeważnie handlem drobnym. A cóż to jest drobny handel? Aby kupić jedno jajko, trzeba odbyć kilka wiorst drogi, stracić godzinę czasu na konferencyę z wieśniaczką, istotą słabo rozwiniętą pod względem inteligencyi, upartą, pełną uprzedzeń i przesądów. Następnie trzeba to jajko zanieść lub zawieźć na targ do miasteczka, o kilka mil drogi, co samo przez się stanowi już podróż, i tam to jajko sprzedać. Grosz, w najlepszym razie dwa! a ileż to razy jajko się stłucze i cały kapitał oraz czas stracony przepada bezpowrotnie... Kiedyż więc, pytam, człowiek tak ciężko pracujący może mieć czas na trudnienie się kradzieżą? Jedyny zarzut, że brał często pieniądze od Gansfedera—upada, jeżeli weźmiemy na uwagę, że Symcha jest jego zięciem. Któż poczyta za złe zięciowi, że bierze pieniądze od teścia? Któż rzuci kamieniem potępienia na teścia, który daje zięciowi pieniądze? Nic łatwiejszego, jak podciąć i obalić kurze nóżki, na których wznosi się wielki gmach oskarżenia. Co winien Symcha, że mieszkał w karczmie bieleckiej i że po za tą karczemką ciągną się wielkie lasy?—Ależ te lasy istniały na długi czas przed urodzeniem Symchy Borucha i prawdopodobie długo jeszcze po jego śmierci istnieć będą; że zaś w lasach kryli się złodzieje, to rzecz niemal od początku świata znana i wiadoma, a tem się dająca wytłómaczyć, że ani w polu, ani na



łące, ani na drodze publicznej ukrywać się nie mogą.

Długo i wymownie przemawiał rzecznik Symchy, a kiedy skończył, posiedzenie zawieszono.

Imć pan Dawid zachwycony był przemówieniem obrońcy swego syna.

— Co? — rzekł do znajomego żydka doradcy — pięknie mówił, prawda?

— Co dziwnego... jabym za takie pieniądze nie tylko mówił, ale nawet śpiewał dwie godziny z rzędu!...

— Mnie się zdaje, że po tem przemówieniu Symchę zaraz wypuszczą.

— Ja myślę że nie, chociaż... daj Boże, ja mu życzę.

— Dlaczego wy mnie tak straszycie, ja jestem ojciec, mnie przykro słuchać takiej mowy.

— Więc dlaczego zapytujecie?

— Chcę wiedzieć.

— Nikt nie może teraz wiedzieć, jak się to wszystko skończy...

— Ale adwokat tak pięknie mówił, tak pięknie, samą prawdę, powiedział; nic więcej, nic mniej tylko samą prawdę, i adwokat Nuty też dobrze mówił i Wulfa także.

— Nic się teraz nie można dowiedzieć... choć

oni bardzo pięknie mówili, ale, widzicie, sąd ma różne swoje fantazye i grymasy.

— Żeby to tak można...

— Cóż?

— Słuchajcie, wy jesteście praktyczny człowiek, idźcie wy do tego sądu przez kuchnię, może co usłyszycie.

— Na co? Za parę godzin będziemy wiedzieli, a jeżeli dziś się nie skończy, to jutro napewno. Teraz już prędko pójdzie.

I rzeczywiście poszło bardzo prędko. Na następnem posiedzeniu przemówił jeszcze krótko prokurator, obrońcy nie mieli już wiele do powiedzenia— sprawa skończona — oczekiwano wyroku. Ten czas dla Symchy Borucha, a zapewne i dla jego towarzyszów wydał się długim jak wieczność. Mniemał on, że sędziowie zapomnieli całkiem o sprawie, że wyszli na spacer, czy może wyjechali gdzie daleko, że już nie powrócą do sądu i zostawią tu wszystkich interesantów w niepewności i niepokoju aż do końca świata.

Wogóle czekanie nawet na coś przyjemnego, na przykład na przyjazd spólnika z pieniędzmi, budzi w człowieku pewien niepokój. Cóż dopiero czekanie na wiadomość niemiłą. W takim wypadku człowiek może przekląć wszystkie zegary, może mieć nawet żal



do słońca, że zachód swój spóźnia, do nocy, że zbyt powoli się zbliża.

Wreszcie... nadszedł oczekiwany moment ogłoszenia wyroku... Zrobiło się w sali tak cicho, że można było słyszeć brzęk skrzydeł przelatującej muchy. Odczytano wyrok skazujący prawie wszystkich oskarżonych, dwóch czy trzech tylko uniewinniono — i ci zostali zaraz wypuszczeni na wolność.

Symcha Boruch, pomimo całej wymowy swego obrońcy, skazany został na trzy lata więzienia.

Dawid Kaltkugel był zmartwiony, przyjaciele i życzliwi pocieszali go jak mogli.

— Nie macie się co martwić— mówili — to jest głupstwo!

— Trzy lata!

— To dopiero pierwsza instancya. Można jeszcze apelować, można robić kasacyę...

Nie wielka to była dla Imć pana Dawida pociecha. Więc udał się do adwokata, który tak wymownie Symchy bronił, do tego samego adwokata i prosił, żeby nie opuszczał go aż do końca. Dlaczego nie apelować, skoro apelują wszyscy? Nechemiasz wraz z synami, Nuta, Wulf, węglarze, cała ta gromada, którą surowy wyrok dotknął. Przeciągnęła się rzecz jeszcze kilka miesięcy. Symcha Boruch ostatecznie skazany został na dwa lata więzienia.

Człowiek wie, że odsiedziawszy rok, ma jeszcze

siedzieć drugi i że gdy ten rok upłynie, to będzie koniec. Mając określony, stały termin, tem się pocieszać można, że każdy dzień skraca ten termin o jeden dzień, miesiąc o miesiąc. Już się tedy Symcha Boruch nie rzucał, nie martwił, nie przeklinał, ale siedział z całą powagą i spokojem. Gęś albo kura, chociaż to głupie ptaki, rozumieją jednak, że jak trzeba siedzieć to trzeba — i siedzą do czasu, bez żadnych grymasów i fanaberyi.

Wprawdzie mają za to pociechę w licznem potomstwie i w powiększeniu się familii, ale zachodzi pytanie, dlaczego Symcha Boruch miałby nie mieć pociech—dlaczego, mając czas wolny; nie mógłby obmyślić planu rozmaitych nowych, niepraktykowanych interesów, bezpiecznych, pewnych, nie zagrażających niebezpieczeństwem. Ile można przez dwa lata wysnuć z głowy najpiękniejszych myśli, ile zbudować projektów, jak dokładnie rozważyć szczegół każdy, ile wprowadzić poprawek, ulepszeń i dodatków!

Zapewne, jest to bardzo przykro oddawać się jedynie i wyłącznie tylko rozmyślaniom, ale jeżeli nie można inaczej, to trzeba się z losem pogodzić. Symcha Boruch widział się z ojcem, widział z żoną i wydał dyspozycye, jak i co ma być zrobione, żeby interesa szły jako tako. Karczemkę miała prowadzić sama pani Symchowa, przy pomocy starej ciotki i najmłodszego brata Symchy—Mendla.



Bardzo to jeszcze młody kawaler, zaledwie trzynaście lat życia ukończył, ale na interesa wódczane wielki znawca i może być nieocenionym pomocnikiem dla bratowej. Za fatygę swoją pobierać ma pewne wynagrodzenie stałe i niewielki procent od dochodów.

Kapitał, jaki miał Symcha, podzielono na dwie części: mniejszą podjął się obracać Imć pan Dawid Kaltkugel, większą posłano Gansfederowi, aby ją w ruch puścił i fundusze pomnażał.

Imć panu Dawidowi nie bardzo się to podobało.

— Dlaczego mnie nie oddasz wszystkiego?— zapytał.—Czy nie ufasz mojej uczciwości?

— Owszem, ufam zupełnie...

— Więc?

— Niech już tak będzie, jak postanowiono.

— Może ci się zdaje, że ja nie potrafiłbym obracać tak znacznemi pieniędzmi? Jeszcze ciebie na świecie nie było, jak ja miałem zatrudnienie przy wielkim kupcu zbożowym, przy takim kupcu, coby ciebie razem z Gansfederem kupił za dwudziestą część swego majątku. Ty nie masz racyi obawiać się, Symcha, ja potrafię więcej, aniżeli tobie się zdaje.

— Nie o to idzie, ojcze, wcale nie o to.

— Wiedz jeszcze, że tu możesz wiedzieć przy-

najmniej, co się z twemi pieniędzmi dzieje, gdy tymczasem tam oddajesz po prostu na przepadłe.

— Pewne one będą jak mur... ale jeszcze nie o to idzie.

— Więc o cóż nareszcie?!

— O sprawiedliwość.

— To, ojcze, przedewszystkiem; może ojciec chce powiedzieć, że w takim domu, gdzie są mury bardzo grube, a okienka bardzo małe, można o sprawiedliwości nie wspominać... ale ja zawsze przy tem stoję, że sprawiedliwość jest główna rzecz na tym świecie. Ojciec mi dał cokolwieczek, troszeczkę, Gansfeder dał mi dużo; ojciec mi dał trochę wiadomości do interesów i do handlu, Gansfeder dał mi dużo; teraz więc, kiedy ja siedzę, ojcu powierzam trochę kapitału, Gansfederowi zaś dużo. Nie będzie powiedziane, że postąpiłem źle.

Imć pan Dawid skrzywił się, jakby po wypiciu octu, i rzekł:

— Jak ci się podoba; twoje jest, możesz więc rządzić jak uważasz i jak ci się zdaje.

Niewiele już ojciec z synem rozmawiał; trochę o interesach, trochę o żonie i dzieciach, poczem stary Kaltkugel odjechał z powrotem do Trzmiela, a syn jego został na miejscu.

Miał dość czasu do rozmyślań. Przed oczami jego duszy przesunęły się kolejno wszystkie dni jego



żywota, począwszy od najwcześniejszej młodości, aż do chwili ostatniej, tej smutnej chwili, w której zawarły się za nim ciężkie drzwi żelazne i odgrodziły go od świata, rodziny i interesów.

Gansfeder był za wielki ryzykant; gdyby nie jego nadzwyczajna śmiałość, wszystko ułożyłoby się inaczej, gładziej, spokojniej bez przykrości. On nie byłby zmuszony do wyjazdu, porządni ludzie nie rozmyślaliby teraz w czterech ścianach zamknięci. Ale stało się już i niema takiej siły, która mogłaby fakt spełniony cofnąć.

Symcha zastanawiał się bardzo gruntownie nad swoją przeszłością, przypominał sobie każdy szczegół, każdego człowieka, z którym miał kiedykolwiek stosunki, i przyszedł ostatecznie do wniosku, że dni swoich nie zmarnował. Robił co mógł, żeby odebrać choć część swego dziedzictwa. Powinęła mu się noga — nic nie szkodzi, ma jeszcze czas przed sobą, ale zacznie inaczej, zupełnie inaczej. Przedewszystkiem porzuci wieś i tę okolicę, w której operował dotychczas, a przeniesie się do miasta, gdzie dużo domów, dużo ludzi, dużo interesów. Będzie obracał pieniędzmi, będzie nimi handlował, bo to jest towar najlepszy i zawsze poszukiwany, a można się na nim bardzo prędko dorobić.

Całe dnie, tygodnie, miesiące schodziły mu na takich kombinacyach, na rozmyślaniu i budowaniu

projektów—i nareszcie wypełnił się czas zamknięcia, otworzono klatkę, i Imć pan Symcha Boruch Kaltkugel nie wyfrunął z niej jako ptaszek lekkomyślny, ale wyszedł majestatycznie i powoli, jak przystoi na człowieka, który ma wielkie myśli w głowie i wielkie projekty do wykonania.

---




## KSIĘGI PIĄTE I OSTATNIE

---

**W których opisane są świetne czasy bohatera i jego wiek sędziwy.**

Bieży czas jako woda w strumieniu, leci jako ptak na lotnych skrzydłach, przechodzi, mija i nie masz siły, która mogłaby go wstrzymać w pochodzie. Bieży i w biegu swoim figle różne wyrabia: jednemu siwizną głowę i brodę popruszy, innemu blask z oczu zdmuchnie, innego do ziemi przygniecie i przygarbi, a iluż to ludziom zupełnie oczy zamknie i do innego życia ich powoła. Wszystko się starzeje, a czas idzie niczem niepowstrzymany, kroki jego zawsze jednakie, mierzone, nie mniejsze i nie większe, wciąż jednakowe. I nie tylko na ludziach, a'e i na domostwach,

na budowlach piętno swoje wyciska, dzieło zniszczenia czyniąc.

Ot, choćby ta karczemka w Bielicy — cóż się z niej zrobiło? Była niegdyś nowa i piękna, o ścianach gładkich, o złocistym dachu słomianym — dziś poczerniała, przygarbiona, dach ma wystrzępiony i brudny. Pokudłał się od wichrów, poczerniał od deszczu, gnić zaczął miejscami; szybki w oknach przybrudziły się, poprzypalały od słońca, drzwi i okiennice poczerniały zupełnie. Z kuźni, w której Nechemiasz z synami takie nadzwyczajne podkowy robił, śladu już niema. Ze ścian jej zbudowano obórkę dla krowy, a komin okopcony stoi samotnie, opłukuje go deszcz, cegła po cegle odpada i w końcu zrobi się z niego rumowisko.

W karczmie mieszka Mendel, najmłodszy brat Symchy, człowiek już żonaty, ojciec rodziny, szynkarz wielki; ale nie robi takich interesów, jak niegdyś jego brat.

Ludzi zdolnych brak... Złe losy powołały ich gdzieindziej, a chociaż, poszukawszy dobrze, możeby się znaleźli drudzy zdatni i ryzykowni, ale niema głowy, któraby wszystkiem pokierować umiała — niema Gansfedera!...

Zniknął on jak kamfora, z żoną i dziećmi, tylko pamięć o nim pozostała. O jego czynach bohaterskich ojcowie opowiadać będą synom, dziadkowie



wnukom, a że każdy od siebie coś dorzuci, więc z czasem utworzy się o dzielnym Gansfederze legenda arcywspaniała...

Wiedzie Mendel w Bielicy żywot cichy, trochę z drobnego handlu czerpiąc dochody, lecz pociesza się nadzieją, że, zebrawszy kapitalik, podwoi obroty, że poszuka sobie wioski ludniejszej, gdzie znajdzie więcej pola do rozwinięcia swych zdolności.

Imć pana Dawida Kaltkugla, rodziciela Symchy Borucha, niema już w Trzmielu i nigdzie go już niema na tym świecie. Zaziębił się, powracając z jarmarku, zachorował i po tygodniu cierpień przeniósł się do lepszego życia.

Stało się to niedługo po wyjściu Symchy Borucha na wolność. Jako najstarszy syn, Imć pan Kaltkugel stawił się przy łóżku chorego. Stary Dawid nie był jeszcze bez nadziei, doktór obiecywał nawet polepszenie. Pomimo tego Imć pan Dawid miał przeczucie śmierci, obojętnie przyjmował lekarstwa, a natomiast kazał sobie sprowadzić kilku nabożnych żydów i prosił ich, aby się modlili i czytali psalmy. Kiedy czuł się gorzej, rozkazał wszystkim wyjść ze stancyi i został tylo sam z Symchą Boruchem.

— Słuchaj — rzekł do syna — dni mego życia są skończone, lada chwila zamknę oczy moje na zawsze.

— Nie mówcie tak, ojcze, będziecie żyli jeszcze sto lat,

— Daj pokój, czuję, że duch mój uchodzi... Dlatego kazałem cię zawołać, aby ci powiedzieć kilka słów.

— Mówcie, ojcze.

— Nie wiem czy usłuchasz, bo mądrość swoją wysoko cenisz i zdania ojca nigdy nie miałeś w poważaniu.

— Ale...

— Nie zaprzeczaj, bo tak było... ale posłuchaj. Umierający lepsze ma oko i dalej widzi niż ten, kogo życie zaślepia... ja ci chcę coś powiedzieć.

— Słucham was, ojcze.

— Ja ci chcę powiedzieć, że dużo felerów jest w naszem życiu.

— W czem, ojcze?

— W życiu naszem jest felerów dużo, my błądzimy.

— Ale w czem?

— We wszystkiem.

— Tak wam się zdaje, ojcze, my czynimy tylko co możemy, jak możemy i jak nam się uda.

— To właśnie bardzo źle, myśmy powinni czynić to, cośmy powinni.

— Ojcze, jesteście chorzy, nie trudźcie się mówieniem, doktór zakazał wam męczyć się. Ja wam dam trochę wody z winem albo lepiej samego wina i wy próbujcie zasnąć. Spanie pokrzepi was.

— Nie, nie, Symcha, tobie nie idzie o to, żebym ja wina się napił i zasnął, tylko żebym nie mówił. Wy jesteście teraz tacy mądrzy, że wcale nie chcecie słuchać starszych, a ty nie ciekawyś nawet dowiedzieć się, co myśli twój umierający ojciec! Ma się rozumieć! On stary, on prostak, co on może powiedzieć tobie, który jesteś mądry, wypraktykowany, obrotny. Ma się rozumieć! Twój ojciec nie zarobił tyle przez dziesięć lat, ile ty potrafiłeś zarobić w ciągu roku... Masz racyę, tyś mądrzejszy, na co masz słuchać starego!?

— Z wielkiem przeproszeniem... nie gniewajcie się. Owszem, ja mogę posłuchać co wy mówicie, tylko idzie mi o was. Tymczasem spocznijcie, nabierzcie trochę siły a gdy się wzmocnicie, mówcie ile wam się podoba.

— Nie; ja chcę teraz powiedzieć: Jutro już moje usta mogą być zamknięte, a język martwy... Symcha! w naszem życiu jest dużo felerów, a nasza zguba nie od żadnych narodów przyjdzie, ale od nas samych. Tak napisano jest, tak zawsze mówił twój nieboszczyk dziadek Migdał, człowiek nabożny i spo-

kojny. My sami sobie wrogami jesteśmy, gdyż żądamy za wiele...

— No, no! ja się bardzo dziwię, że mówicie takie słowa. Sami uczyliście mnie, że świat do nas należy.

— Tak, ale trochę i do nich... miarę trzeba znać...

— Czy wyście inaczej robili, niż my...

— Inaczej... myśmy skubali po trochu, aby żyć i nie przeszkadzaliśmy żyć drugim... wy chcecie wszystko pochłonąć odrazu. Symcha, słuchaj mnie, to duży feler jest i od tego feleru przyjdzie wasza zguba. Moje oczy zamkną się niezadługo i może dlatego lepiej widzą teraz... Ja proszę cię, Symcha, jeżeli chcesz być szczęśliwym na tym świecie, nie żądaj za wiele, nie bierz za wiele...

To były prawie ostatnie słowa Imć pana Dawida Kaltkugla; gwałtowny kaszel nie pozwolił mu dokończyć tego, co chciał synowi powiedzieć, a kiedy kaszel przeszedł, chory wpadł w takie osłabienie, że nie mógł mówić i leżał prawie nieprzytomny, dysząc ciężko - i już do samego zgonu w takim stanie pozostał.

Kiedy Dawid Kaltkugel zamknął oczy na zawsze i kiedy go uczciwie, w najbliższem miasteczku, na żydowskim cmentarzu pochowano, Symcha Boruch, według starego obyczaju, szatę na sobie rozdarł, obuwie z nóg zrzucił, głowę popiołem posypał i tak osiem dni na pokucie przesiedział. Spełniwszy ten ostatni względem zmarłego ojca obowiązek, zaraz odjechał i już go nigdy w okolicy jego rodzinnej nie widziano —ale mówiono o nim dużo.



Dochodziły wieści, że powodzi mu się doskonale, że wyborne interesa robi, kapitałami znacznemi obraca, że i pod względem powierzchowności tak się zmienił, że z dawnych znajomych niktby go nie poznał. Osoba to, jak mówią, wspaniała, aż blask od niej bije. Tuszę ma dobrą, twarz jego lśni od zdrowia i dostatku. Nie żałuje sobie na jedzenie, a ubiera się... jak się ten człowiek ubiera! Nie tak jak panowie, którzy noszą się całkiem krótko, ani nie tak jak zamożni kupcy, noszący się całkiem długo. Strój Symchy jest pomiędzy tymi dwoma rodzajami pośredni; to też mąż ów wygląda jak największy pan pomiędzy kupcami i jak najwspanialszy kupiec między panami. Ma na sobie buty lakierowane z cholewami na wierzchu, kamizelkę aksamitną, na niej łańcuch szczerozłoty możliwie najgrubszy, z masą świecideł i breloków, surdut angielski długi za kolana i stosownie do pory roku, albo kapelusz cylindrowy, albo czapkę futrzaną z jakiegoś bardzo kosztownego zwierzęcia!

Człowiek, który tak się wspaniale stroił, musiał też i odpowiednio mieszkać. Symcha Boruch zajmo-

wał apartament na pierwszem piętrze w bardzo okazałej kamienicy, w najpiękniejszym domu, jaki przyozdabiał żydowską dzielnicę miasta gubernialnego.

W mieszkaniu Symchy Borucha, złożonem z czterech stancyi oraz z kuchni, był salon urządzony wykwintnie. Stała w nim kanapa i dwa fotele zielonym adamaszkiem obite, stół orzechowy, dwa fotele czerwone i kilka krzeseł krytych materyą w tureckim guście. Naczelne miejsce w tym salonie zajmował fortepian, a na nim duży tombakowy samowar i cztery wysokie lichtarze mosiężne. Ze środka sufitu zwieszał się żółty świecznik na grubym postronku, a pomiędzy oknami było lustro, stłuczone wprawdzie, i to w dwóch miejscach, ale duże i imponujące ramami przeraźliwie złotemi.

W tymto salonie przyjmował Imć pan Symcha Boruch gości, czesem w syberynowym szlafroku z czerwonemi wyłogami, opasany grubym również czerwonym sznurem, czasem w angielskim surducie, a zawsze w mycce jedwabnej na głowie. Mycka to była nie zwyczajna, okrągła,.nie taka, jakie żydzi noszą zazwyczaj, ale stojąca, wysoka. Wzór do niej wziął Symcha Boruch z oleodrukowego portretu sir Mozesa Montefiore, wielkiego filantropa i wielkiego żyda angielskiego. W tej mycce przyjmował Symcha licznych swoich faktorów i klientów; starą zaś aksamitną jarmułkę przywdziewał jedynie podczas



świąt uroczystych i sobót, gdy znajdował się w ścisłem gronie rodzinnem.

Bywały zdarzenia, że zgłaszali się do niego hrabiowie nawet, ma się rozumieć podupadli finansowo— on ich zawsze jak najuprzejmiej przyjmował.

Do jednego młodzieńca o ślicznem nazwisku i o szkaradnej hypotece wychodził w szlafroku, aby dać poznać, że z młodym arystokratą łączą go poufałe stosunki.

— Pan hrabia wybaczy mi mój szlafrok — mówił—ale ja jestem delikatny na zdrowiu, mam parę felerów i ufam, że, ze względu na nasze przyjacielskie stosunki, ta poufałość będzie wytłómaczona.

Młodzieniec, którył wziął pieniądze nie tylko od izraelity w syberynowym szlafroku, ale nawet od samego Belzebuba w jeszcze grubszym negliżu, uśmiechnął się przyjaźnie i mówił, że jest zachwycony tym dowodem zaufania i przyjaźni.

Zupełnie też słusznie mógł potem mówić Symcha Boruch, że z młodym hrabią X. żyje jak z przyjacielem, i że ten nigdy inaczej do niego nie mówi, jak: kochany Symchusiu.

— Symchusiu, daj pieniędzy.

— Bardzo owszem... ile pan potrzebuje?

— Tysiąc rubli.

— Na co?

— A tobie co do tego?

— Pan mnie nie rozumie, panie hrabio, ja się pana nie pytam, na jaki wydatek pan użyje moje pieniądze; tylko na co ja je mam dać?

— A no... oczywiście na niżej podpisanego.

— Mnie się zdaje, że niżej podpisany nie ma żadnej ewikcyi.

— Przepraszam cię, Symchusiu, mam jeszcze ciotkę, a wiesz, że ta jest coś warta...

— Oj, oj, i jak warta, ale tymczasem ona sobie żyje zdrowa.

— No, kiedyś przecie...

— Panie, ja mam honor znać tę osobę. Ona mi wygląda na okropnie długi termin, to kamienna kobieta, to żelazo. Chyba żeby chciała za pana weksel podpisać.

— Wątpię.

— Dlaczego?

— Ona pisać nie lubi.

— Niech ją pan grzecznie poprosi... Zresztą pan wie, że ja nie będę sprawdzał,.. wystarczy mi pańskie słowo, że to podpis cioci. Ja...

— Ostatecznie możebym podpis dostał, ale potrzeba mi bardzo pilno... Mój Symchusiu, jesteś moim dobrym przyjacielem. Wszak prawda?

— No, tak... zapewne.



— Więc radź, rób co chcesz. Ja dziś potrzebuję koniecznie, nieodzownie... gwałtownie!

— Ja chcę panu pokazać, że jestem przyjacielem; ja panu tymczasem dam pięćdziesiąt rubli, do jutra rana to powinno wystarczyć; a jutro, jak pan przyniesie podpis cioci, to pogadamy o dalszym interesie...

Symcha Boruch obrał sobie specyalność interesów wątpliwych.

Kto nigdzie nie mógł dostać pieniędzy, kto miał wszędzie zamknięty kredyt. ale jeszcze jakiekolwiek resztki lub cienie widoków na przyszłość posiadał, ten szedł do Symchy jak w dym i nigdy z próżnemi nie odchodził rękami. Kapitalista ten pożyczał pieniądze na ślad ewikcyi, oczywiście płacąc śladem waluty; nabywał sumy hypoteczne, figurujące na ostatnich najniepewniejszych numerach, i płacił za nie w stosunku pięć lub dziesięć za sto—swoją drogą robił doskonałe interesa. Żywiła się przy nim cała rzesza faktorów, czynnych, myszkujących zawsze po sądach, hypotece, po wszystkich hotelach w mieście.

Sam o sobie Symcha mówił, że nie jest człowiekiem grymaśnym.

— Do mnie przychodzi młody panicz, chce pieniędzy... ja mu daję pieniędzy. On mi powiada, że na wekslu jest podpis ojca, matki, wuja, brata... ja mu wierzę. Ja kupuję weksel. Jeżeli jest prawdziwy, to mi zapłacą; jeżeli fałszywy, także mi zapłacą, gdyż

nie zechcą dopuścić, żeby piękne nazwisko siedziało w kryminale.

Doprawdy nazwisko to jest śliczna rzecz, a honor jeszcze piękniejsza. Wogóle rozumował sobie Symcha: najlepsze interesa są to tak zwane „złe interesa." Można je bowiem nabywać prawie za darmo, a choć się czasem straci, strata jest bardzo niewielka, gdy się zaś zarobi to porządnie.

Bardzo Symcha Boruch protegował i był niezmiernie usłużny dla takich kawalerów, którym pilno było do pełnoletności... Rozumiał ich położenie i wchodził w nie—a chociaż nie mógł przyśpieszyć biegu czasu, jednak wyprzedzał go niekiedy.

Czasowi nie czyniło to żadnej ujmy, a młodziutki interesant miał wygodę.

— Opieka to jest wielkie udręczenie — mówił, przyznając klientowi zupełną słuszność — potrzebna ona jak dziura w moście.

— O, tak...

— Ja wiem... ja znałem wielu paniczów w podobnem położeniu, co oni mieli ambarasu z opiekunami! I po co? na co? Nie dzieci przecież, ale panowie... u nas taki kawaler już jest ożeniony. Całe szczęście dla nich, że mnie znali, a ja jestem bardzo usłużny, nieraz na tem tracę... ale robić... taka moja natura!



Wyprzedzał Symcha czas, a młodzieniec urządzał wyścig dystansowy z majątkiem.

W mieszkaniu Symchy Borucha znajdowała się kasa ogniotrwała, żelazna, w niej chował wszelkie dowody, pieniądze zaś puszczał wciąż w ruch.

— Moja kasa—mówił nieraz—podobna jest do dużego miasta.

— Jakto do miasta?—zapytał klient.

— Bo mieszka w niej bardzo wiele osób... i jakie to osoby, sami panowie, same państwo.

— A, zapewne... a jak też ludne to pańskie miasteczko?

— Nawet sam nie mógłbym zrachować jego mieszkańców... dość powiedzieć, że ich jest dużo... i nie tylko z miasta, ale z okolicy... nie tylko z bliższej okolicy, ale i z dalszej... Tu każdy trafi, każdy wie, że gdy nigdzie nie znajdzie ratunku, to u Symchy na pewno...

Rzeczywiście, każdy trafiał do Symchy, a mówiąc dokładniej, Symcha trafiał do każdego, miał bowiem na swe usługi gromadę faktorów, którzy mu sprowadzali interesantów.

Jednego lata Symcha Boruch, dla poratowania zdrowia, udał się do Karlsbadu i tam niespodziewanie spotkał swego teścia, wielce szanowanego Gansfedera.

Ten także się zmienił, posiwiał i nabrał dobrej tuszy.

Teść z zięciem przywitali się bardzo po przyjacielsku, nawet z okrzykiem radości. Wypytywaniom końca nie było, jeden i drugi miał dużo do powiedzenia, i ta tylko była w ich wzajemnych zwierzeniach różnica, że Gansfeder guldenami pstrzył swoją mowę, Symcha zaś swoją rublami bogato haftował.

Gansfeder zarzucił dawny strój zupełnie i ubierał się po mieszczańsku, brodę strzyżoną miał, głowę błyszczącym kapeluszem przykrywał...

Teść zapytał o Bielicę, jeziora, lasy.

— Jest Bielica — odrzekł Symcha—ale to już nie ta Bielica co dawniej, są jeszcze lasy i są jeziora, ale dziś to już nic nie warte.

— Dlaczego?

— Niema ludzi, ludzi brak. .

— No, no.

— Od czasu. jak wyście wyjechali, od czasu tej nieprzyjemnej sprawy, wszystko zmarniało.

— Szkoda.

— Zapewne że szkoda.. były to złote interesa, śliczne interesa!

— Dlaczegóż mówisz: były?... mogą się jeszcze powtórzyć.

— Przepadły już.

— Ty tego nie mów, Symcha, nic nie przepadło w Bielicy; to, co zarobiliśmy tam, stało się podstawą dzisiejszych naszych interesów i dzisiejszego majątku... Ja bo mam już trochę majątku.



— I ja mam...

— Chwalić Boga, ja wiedziałem, że ty nie będziesz kapcan, że się dorobisz.

— Korzystałem często z waszej rady, a wyście mi zawsze dobrze radzili.

— Tak jest: ja miałem kawałek głowy w swoim czasie. Nie potrzebuję się chwalić, ale miałem.

— Czy wam dziś brak?

— Już to nie to, co dawniej było... Zrobiłem się delikatny przy mojem teraźniejszem zatrudnieniu, nie mam ruchu i przez to nie czuję się tak lekkim i żwawym jak dawniej... Powiedz mi, co się dzieje ze starym Nechemiaszem?

— Umarł.

— Szkoda... a jego synowie starsi?

— Nie wiadomo gdzie są. Gdy ich wypuścili ztamtąd wreszcie, poszli w świat i wcale o nich nie słychać.

— A Wulf i Nuta trzymają jeszcze jeziora?

— Zbiednieli. Nuta na wieś poszedł, handluje trochę z babami, Wulf uczepił się przy jednym kupcu leśnym... bardzo biedni... Wszyscy nasi spólnicy dawno podupadali i interes upadł, bo niema kto nim pokierować.

— To mnie dziwi, byli przecież ludzie zdatni, ja pamiętam, strach na nich poszedł wielki, ja sam bałem się, niech Bóg broni. Uciekłem do miasta. Co prawda, bez nas Bielica nie miała już dla nich żadnego znaczenia. Do miasta przyzwyczaiłem się bardzo prędko...

— To się rozumie. W mieście jest zupełnie inne życie, ale przyjemne i wygodne. My zawsze wolimy być tam, gdzie jest więcej ludzi i większy ruch. Zarobek w takiem mieście większy.

— Jak wam wiadomo z moich listów, zacząłem handlować pieniędzmi i z początku nie było wielkich rzeczy, ale po kilku miesiącach, po pół roku, ogromny ruch się zrobił! Ciągle interesanci przychodzili i przyjeżdżali, a teraz nie jest nic nadzwyczajnego zobaczyć powóz przed domem, w którym ja mieszkam. Zawsze miałem na myśli wasze słowa, że najlepsze interesa są tak zwane „złe interesa." Doprawdy, to bardzo mądre słowa, złote słowa...

— Ja się bardzo cieszę, że ty, Symcha, moje rady masz w pamięci.

— Dlaczego nie miałbym mieć ich w pamięci? Wasza rada to moneta, to pieniądz. Z początku okrzyczano mnie za waryata.

— Ciebie? kto?

— Żydki nasze... później mówili, że jestem nadzwyczajny ryzykant, a teraz, jak się przekonali, że

odzyskałem w całości sumy nabyte za bezcen, że odebrałem należności od ludzi uważanych za zupełnych bankrutów, to zazdroszczą mi i mówią, że mam wielki rozum. Znaleźli się i tacy, co mi chcą robić konkurencyę.

— Wszystko to przez zazdrość.

— Co szkodzi! niech robią. Takich klientów, którzy do mnie przychodzą, jest jak piasku w morzu. Nie spodziewam się, żeby mi ich kiedy zabrakło... Jako dowód, że ludzie ufają w mój rozum, powiem wam, że bardzo porządni ludzie z naszych przychodzą do mnie po radę, gdy chcą zbankrutować.

— I cóż ty robisz w takim wypadku?

— Przystępuję do interesu, jako niby spólnik. Doprawdy, to nie jest zła rzecz.

— Niby ja nie wiem! Bardzo się cieszę, że ci się tak powodzi.

— Spodziewam się, że i wy także nie macie powodu narzekać.

— Nie, tylko zdrowie mi nie bardzo służy. Doktór mi każe co rok jeździć do wód... to kosztuje. Słuchaj, Symcha Boruch, na przyszły rok ty przyjedź z żoną tu; ja też przyjadę i może moje córki przyjadą z mężami. Zrobimy sobie taki zjazd familijny. Mnie będzie to bardzo przyjemnie. Twojej żony już tak dawno nie widziałem... musi być ładna kobieta.

— Bardzo... nie wiem czy w całem mieście znaj-

dzie się druga taka wspaniała żydówka... to dama jest... przekonacie się na przyszły rok, jak tu przyjedziemy. Ona też potrzebuje Karlsbadu...

— A cóż ty robisz ze swymi chłopcami?

— Cóż mam robić? prowadzę ich wysoko... praktykują przy mnie, ożenią się bogato... Córki moje, a żebyście zobaczyli moje córki... to też damy, zawsze bardzo wystrojone i bardzo eleganckie. Gdy pokażą się w ogrodzie na spacerze, każdy się za niemi ogląda. O najstarszą starają się już; kilka razy swat przychodził, ale ja się nie śpieszę, czekam, może się jeszcze coś lepszego trafi.

— Masz racyę; na dobry towar kupiec się znajdzie.

Przez całe cztery tygodnie Symcha Boruch cieszył się towarzystwem swego teścia, w jednej stancyi mieszkali, razem stołowali się, razem chodzili na wody i odbywali wycieczki piesze, w celu pozbycia się nadmiaru tuszy.

Symcha poznał kilkunastu bardzo porządnych kupców i aferzystów, nasłuchał się nader ciekawych opowiadań o wielkich interesach, o giełdzie wiedeńskiej, rozjaśnił horyzont swoich pojęć o kilkanaście procentów. Taka wycieczka pod wieloma względami dobrze robi, nie tylko bowiem ratuje zdrowie i daje wielką sumę przyjemności, lecz zarazem odświeża umysł, naprowadza go na nowe myśli, zbiera obfite



żniwa z doświadczenia innych ludzi, z ich pomysłów i kombinacyi, powiększa i wzbogaca zapas wiadomości, zaostrza dowcip, ćwiczy w sztuce opowiadania i wogóle odświeża człowieka i orzeźwia, jak kąpiel w czystym strumieniu, po długiej i nużącej podróży.

Nadzwyczaj przyjemna wycieczka — i Symcha postanowił sobie powtarzać ją corocznie.

Pożegnanie z teściem, również jak przywitanie, było bardzo czułe—przyrzeczono sobie nawzajem możliwie częstą wymianę listów.

Zjazd familijny odbył się tylko dwa razy, na trzeci albowiem wielce szanowny Imć pan Gansfeder stawić się już nie mógł, gdyż zakończył swój pożyteczny i pracowity żywot. Symcha musiał z tego powodu odbyć podróż za granicę. Przyjechał razem ze swoją małżonką, chodziło bowiem o odebranie spadku, który, jak słusznie należało przewidywać, nie był do pogardzenia.

Wiele ambarasu przytem było, wiele sporów i kłótni, atoli, po kilku tygodniach, wszystko ułożyło się pomyślnie; interesa nieboszczyka Gansfedera zlikwidowano, odstąpiono je miejscowym aferzystom, zrobiono akuratny podział i państwo Symchowie powrócili do domu, przywiózłszy z sobą dość pokaźną sumkę, którą Symcha niebawem puścił między ludzi,

aby nie próżnowała, lecz przynosiła dochody jak należy.

Rok biegł za rokiem, Symcha Boruch wciąż cieszył się zdrowiem, tylko broda zaczęła mu siwieć. Zyskał przez to na powadze... Z siwą brodą do twarzy mu było, choćby ze względu na różne honorowe funkcye, do jakich go powoływano.

Cała ludność żydowska dużego dosyć miasta zapraszała Imć pana Symchę do zarządu ogólnemi jej interesami; cokolwiek się w jej gospodarstwie robiło, Kaltkugel musiał w tem udział przyjmować.

I pysznił się z tego Imć pan Symcha i w ambicyę się wbijał, gdyż ta jest zazwyczaj ludzkich pożądań gradacya, że najpierw człowiek pieniędzy pragnie, a gdy je posiądzie, tedy mu się honorów, poszanowania i miru zachciewa. Jużby rad na świeczniku stać i hołdy zewsząd odbierać, już mile go wszelkich pochlebstw kadzidło łechce po nosie, już chce paść oczy widokiem pochylonych głów i zgiętych grzbietów. A choć to głowy mizerne, nędznemi, staremi czapkami pokryte, choć na owych grzbietach pochylonych łachy się trzęsą, jednak i to pysze Symchy Borucha pochlebia, że się gną przed nim i kłaniają. On zadziera głowę do góry i zda się mówić: patrzcie com ja, bogacz, a co wy, marni nędzarze!...

Całe żydowstwo ubogie, głodne, obdarte, czasu ostrej zimy lub też przed uroczystemi świętami, ciśnie



się do drzwi Imć pana Symchy, który na czele kahalnej dobroczynności stoi i ofiary miłosierdzia zb orowego między wszelakich łapserdaków rozdziela. On i sam potrafi rzucić datek hojny, byle tylko mówiono o nim, byle sława jego czynów i jego imienia rozchodziła się po świecie.

I rozchodziła się ona też daleko i szeroko, aż do mieściny rodzinnej, do Trzmiela, do karczemki bielickiej, nad jeziora, do lasów.

Symcha Boruch! Któż nie znał tego imienia? Kaltkugel — któż nie znał tego nazwiska! Bogacz, kapitalista, wielka głowa, kahalny macher, mąż zaufania, sławny człowiek, bez którego żadna ważniejsza rzecz w mieście stać się nie może.

On patrzy dziś na ludzi z góry — a jak niegdyś na niego patrzono?!

Gdyby nagle groby się otworzyły i umarli z nich powstali, jakżeby się zadziwili, ujrzawszy dzisiejszego Symchę! Jakżeby szeroko otworzył usta ten mełamed, który przepowiadał, że Symcha Boruch na zawsze osłem wielkim i nieukiem zostanie — i ci wszyscy niby mądrzy ludzie, a przedewszystkiem pachciarz z Trzmiela—ci wszyscy mądrzy ludzie, z których żaden nie chciał dać młodemu wówczas Kaltkuglowi córki za żonę! Oni nie chcieli!... niechże go zapytają teraz, czy onby chciał obecnie dla którego z synów

swoich wziąć podobnie ordynaryjne i proste, a niebogate żydówki.

Niech się zapytają, niech spróbują, a odejdą zawstydzeni i oczów nie będą śmieli pokazać... Ale... nie próbowaliby nawet, ba, żaden swat nie podjąłby się tak bezczelnie zuchwałej propozycyi! Symcha Boruch? Schody do tego szczytu już nie z setek są ułożone, ale z tysięcy. On sam się ślicznie dorobił i po takim ślicznym człowieku jak Gansfeder sukcesyę dostał i takich kilka nadzwyczajnych interesów zrobił, że tradycya o nich, niby legenda najpiękniejsza, niby poema epiczne, z pokolenia w pokolenie przejdzie, i takich sztuczek kilka urządził, takich figlów mądrości, że jeszcze je wnuki i prawnuki wspominać, rozbierać i komentować będą...

Paskudne, za przeproszeniem, po prostu psie języki ludzi zazdrosnych, złośliwych, a pysznych i nie uznających zasług cudzych, wspominają z przekąsem o tych smutnych chwilach, które Symcha Boruch na rozmyślaniu w samotności przepędził.

Wspominają o tem po cichu, gdyż głośno odzywać się nie śmią; Symcha Boruch bowiem ma wpływy, ma długą i ciężką rękę, którą może dosięgnąć— i zemścić się za szkalowanie swego honoru.

Ci ludzie wymawiają po cichu brzydki wyraz: kryminał.

I cóż ztąd?



Czem właściwie kryminał różni się od zwyczajnej kamienicy? Powiedziawszy prawdę, tylko większą solidnością murów i tem, że w pierwszym ludzie mieszkają niedobrowolnie i darmo — w drugiej z własnej ochoty i za pieniądze.

Symcha Boruch, mówią, siedział dwa lata—iluż to jest ludzi, którzy nad książkami przesiadują całe życie, ilu takich, co nie przez dwa, ale przez dziesięć lat leżą w łóżku chorzy! Czy człowiek może być odpowiedzialny za nieszczęście? Stanowczo nie. Nikt bowiem, o ile nie jest pozbawiony zdrowych zmysłów, nieszczęścia nie szuka, a jeżeli ono samo go spotka, to jest przypadek, taki sam jak pożar, złamanie nogi, wpadnięcie do wody. Ilu ludzi najporządniejszych i najzacniejszych miało w swojem życiu przypadki i do tego nawet bardzo brzydkie!

„Świat jest podły—powiedział raz Symcha Boruch w przystępie rozżalenia - jest brzydki, dziki i niewdzięczny; liczy każde potknięcie się człowieka na równej drodze, a nie chce pamiętać, ile śmiałych, ryzykownych kroków człowiek ten na śliskiej dróżce postawił.“

Żona Symchy Borucha jest dama co się zowie; atłas, aksamit, koronki ozdabiają jej wspaniałą i masywną postać; złota, pereł, drogich kamieni ma na sobie tyle, co w jubilerskim sklepie. Chodzić prawie nie może, z powodu otyłości nadmiernej—poświęca się

jednak dla ludzi i nie chcąc ich pozbawiać widoku strojów i bogactwa, wytacza się do ogrodu, czyniąc wysiłki nadzwyczajne—i zasiadłszy na ławce, jaśnieje w słońcu nie jak brylant, ale jak sklep z kosztownościami, jak... lombard. Całe miasto przechodzi, patrzy i podziwia, całe miasto, a najbardziej ta część jego ludności, która postępuje najsłuszniej, obliczając wartość człowieka na gotówkę.

Córeczki Symchy Borucha to panienki, a jakie panienki—prawdziwe hrabiny, ubierają się podług ostatniej mody, a mówią po francusku tak jak po żydowsku, z takim samym akcentem, z wielką pewnością siebie. Ojciec kilka razy miał z niemi ostrą przeprawę z powodu, że wyrażały się z lekceważeniem o ludziach nieubranych podług ostatniej mody i o kapotowych konkurentach.

Symcha Boruch bardzo się rozgniewał z tego powodu, ale w duchu szczycił się, że ma córeczki takie pyszne i edukowane.

Z wyborem zięciów pewne przewidywał trudności. Panienki tego rodzaju nie chciałyby się może zgodzić na mężów ze sfery prostych, ordynaryjnych ludzi, Symcha Boruch zaś w tej właśnie kandydatów na zięciów upatrywał. Pocieszał się atoli myślą, że bogactwo młodzieńców przeważy na szali, i że panienki zgodzą się na oblubieńców kapotowych, jeżeli ci zaimponują im majątkiem. Niezadługo w domu



Imć pana Symchy Borucha rozpoczął się okres bardzo gorączkowego życia: zaręczyn, szycia wypraw, wesela. To ostatnie odbywało się rzeczywiście z wielką pompą i wystawnością; to tylko Symchę martwiło, że obecność ubogich krewnych przyćmiewała nieco blask jego bogactwa. Nie zapraszał on tych familiantów, przyjechali sami, trudno było drzwi zamknąć przed nimi.

Nie upłynęło wiele czasu, a Symcha córki za mąż powydawał, synów pożenił i po kilku latach miał sporo delikatnych wnuczków i mógł być pewnym, że nazwisko, tak uświetnione przez niego, nie zaginie.

Pomimo że się rodzina znacznie zmniejszyła, Symcha apartamentów nie zmienił. Przyzwyczaił się on już do wygody i komfortu, do swojej kanapy zielonej, na której drzemał codzień po południu, do wielkiego fotela z wysokiem oparciem... Lubił siedzieć na nim i rozmyślać o interesach korzystnych, o przeszłości, i przyszłości, lubił siedzieć godzinami całemi i wpatrywać się w szafę żelazną, obok stojącą przy ścianie.

Było mu dobrze i wygodnie. W szlafroku, w mycce na głowie wyglądał co się zowie okazale i na pierwszy rzut oka można było poznać, że to był mąż wielce poważny i szanowany.

Fajkę zupełnie zarzucił. Dobre to dla furmanów, pachciarzy, dla drobnych aferzystów, co od wsi

do wsi się włóczą, ale nie dla człowieka mieszkającego w mieście, w pięknym apartamencie, mającego stosunki z panami i z paniczami. Symcha Boruch palił tylko cygara dobre, bo mu się smak bardzo wydelikacił i tanie, gdyż pieniędzy nie lubił na zbytki wydawać.

W apartamencie Symchy Borucha zbierała się sama śmietanka; zwyczajni ludzie przychodzili tam wprawdzie, ale za interesami. Taki przyszedł, powiedział co miał powiedzieć, dostał co miał dostać, ukłonił się nisko, bardzo nisko i poszedł. Co taki kapcan ma mówić, w jakim celu siedzieć? Czy to jest człowiek, z którym można pić herbatę, palić dobre cygaro, grać w karty—w „dreimałkies“ albo w „oko“? Wcale nie, on szuka swojego towarzystwa i doprawdy jemu tam lepiej, niż między znacznemi osobami, on czuje się swobodniejszym i weselszym w swojem gronie. Gąsior nie utrzymuje kompanii z wróblem, indyk nie brata się z wroną, jest arystokracya i jest pospólstwo.

W kompanii zacnej, w towarzystwie samych notablów i honoracyorów Symcha Boruch wszystkie od zajęć wolne chwile przepędzał, zaszczyty z nimi dzielił, na radach zasiadał, swe zdania z ich zdaniami na jednej szali ważył, ręka w rękę szedł i stał się im jako równy, jako brat, i był jako jeden z patrycyuszów miasta.



I tak się Symcha w tem bogactwie, w tych honorach pomaleńku starzał, aż się zestarzał tak, iż mu broda zbielała jak mleko, jak ów śnieg, co zimową porą na polach się kładzie.

Siwowłosy Symcha Boruch stał się wzorem nabożności i cnót wszelakich. Codziennie wychodził do bóżnicy i przykładnie pacierze odmawiał, święta ze wszelkiemi ceremoniami obchodził, książki nabożne czytał, chociaż dokładnie nie rozumiał ich treści, do sławnych rabinów jeździł i z honorami przyjmowany był przez nich, a jak mówił! Jak on mówił, jak przemawiał, jakie budujące zdania wygłaszał, to tylko było słuchać, uczyć się i podziwiać.

Nie tylko młodzi ludzie, ale i dorośli, starzy nawet, słów tych słuchając, budowali się i wzmacniali na duchu, jeden drugiego trącał i szeptał:

— Patrz, ucz się, bierz przykład; żywot sprawiedliwego to księga, w której każdy dzień kartą, rok foliantem. Nie piórem pisana ona, ale czynami, nie litery ją zapełniają, ale cnoty... Przewracaj te karty, patrz na nie pilnie i za przykładem idź, naśladuj, abyś został dobrym i cnotliwym, jako ten, na którego patrzysz i którego słów słuchasz.

Symcha Boruch zachęcał ludzi młodych zwłaszcza, aby szli prostemi drogami, aby nie łakomili się na cudze, aby w pocie czoła pracowali na kawałek chleba.

— Ja tak od małego dziecka robiłem — opowiadał—tych zasad się trzymałem i doszedłem do stanowiska; nikogom nie skrzywdził, niczyjego dobra nie pożądałem, szedłem sobie swoją drogą, prosto .. zarabiałem ciężką pracą, a jeżeli teraz mam trochę mienia, to jej, tej właśnie pracy zawdzięczam i jej tylko, więcej nikomu. Wolałem w pocie czoła zapracować na kawałek chleba, aniżeli mieć mięso niesprawiedliwie nabyte. Nieraz traciłem na tem, nieraz zrzekałem się korzystnego interesu, nieraz żona robiła mi wymówki, ale cóż robić. Nie mogłem inaczej—taka już była moja natura. Mam dziś trochę majątku; dlaczego tylko trochę? Ponieważ chodziłem prostemi i uczciwemi drogami; gdybym postępował inaczej, miałbym dziś... miliony.

Tyle Symcha Boruch o swojej wielkiej uczciwości opowiadał, tyle o swoich cnotach mówił, tyle nauk moralnych młodym ludziom dawał, że uznano go w całem mieście za męża, będącego wzorem sprawiedliwości...

I w tych zaszczytach, poszanowaniu, honorach, w dostatku i bogactwie ubiegały dni starości Imć pana Symchy Borucha. Ubiegały spokojnie, jako dni łagodnej jesieni, promieniami słońca ozłocone, ubiegały, dochodziły kresu, aż wreszcie doszły...

I wypełniły się dni tego męża i umarł — i legł nie jako kwiat kosą podcięty, lecz jako kłos dojrzały, wysypawszy z siebie całe bogactwo ziarna.



Był w mieście płacz, jęk i żal, zbiegła się ze stron różnych rodzina, płaczki zawodziły nad grobem żale głosem wielkim.

I jako żywot Imć pana Symchy Borucha się skończył, tak się i te o nim ksiąg pięcioro zamyka, cnocie bohatera na cześć, sprawiedliwości na świadectwo, potomnym na wzór do naśladowania.




KONIEC.





Bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej":

kwartał IV r. 1898 (13 tomów).

*St. Kozłowski* „**Taboryci**", dramat w pięciu aktach . . . . . . . . . . . . . tom 1
*T. T. Jeż* „**W Zaraniu**", powieść . . . . . tomów 3
*E. Goncourt* „**Bracia Zemganno**" . . . . tom 1
*T. Padalica* „**Powieści Ukraińskie**" . . . . . „ 1
*Edm. Rostand* „**Cyrano de Bergerac**", komedya bohaterska w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Zagórskiego . . . . . . . tomów 2
*Irena Mrozowicka* „**W płytkim prądzie**" . . tom 1
*Jonas Lie* „**O Zachodzie**", powieść norweska „ 1
*Klementyna z Tańskich Hofmanowa* „**Krystyna**" . . . . . . . . . . . . . . . tomów 2
*H. Andersen* „**Bajki i Opowiadania**" . . . tom 1

Kwartał I r. 1899 (13 tomów).

*Józef Bliziński* „**Obrazki**" . . . . . . . tom 1
*Artur Gruszecki* „**Szarańcza**" powieść na tle stosunków szląskich . . . . . . tomów 3
*Juliusz Breton* „**Artysta**" (Savarette) . . tom 1
*Jan Lam* „**Wielki Świat Capowic**" . . . tomów 2
„ „**Głowy do pozłoty**" . . . . tomów 4
*J. W. Goethe* „**Reineke-Lis**" . . . . . . tom 1
*Stanisław Pilecki* „**Dwa głosy**" . . . . tom 1

Kwartał II r. 1899 (13 tomów),

*Marya Konopnicka* „**Pod prawem**" powieść tom 1
*Teofil Lenartowicz* „**Poezye**" . . . . . . tom 1
*Marya Konopnicka* „**Nowele**" . . . . . . tom 1

*Adolf Dygasiński* **„W Kielcach"** opowiadania i uwagi o czasach szkolnych . tom 1
*Marya Konopnicka* **„Nowele"** . . . . . tom 1
*Józefat Nowiński* **„Biała gołąbka"** poemat dramatyczny w 5 aktach . . . . . tom 2
*Marek Twain* **„Bajeczki dla starych dzieci"** przełożone z oryginału przez *Alinę Świderską* . . . . . . . . . tom 1
*Michał Synoradzki* **„Muszkieterowie króla jegomości"** romans historyczny . . . tomów 4
*Eliza Orzeszkowa* **„Jędza"** . . . . . . . tom 1

---

Nowi prenumeratorzy „Gazety Polskiej" mogą nabywać powyższe komplety kwartalne po rb 2,40 w Warszawie, z przesyłką pocztową rb. 3.

---

W kwartale III-gim roku 1899 wyszły następujące bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej":

*Klemens Junosza* **„Żywota i Spraw Imć pana Symchy Borucha Kaltkugla"** . . . . tomów 2